NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW. UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 18 lutego 1905 r. Nr. 8.

Krwawy dramat miłosny w Czortkowie.

(Do artykułu na str. 2).



Krwawy dramat miłosny w Czortkowie (z portretami zamordowanej i denata). — Pogrzeb studenta zabitego przez żołdaków w Warszawie. — Epilog mordu w hotelu Kleina (z portretami J. Brzozowskiej i dra Piotrowskiego). — Wzmocniona ochrona na ulicach Warszawy. — Wojna rosyjsko-japońska.

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Krwawy dramat miłosny w Czortkowie: Ś. p. Knobel porucznik 95 p. p.

Krwawy dramat miłosny.

(Do illustracyi tytułowej).

Szczęście ludzkie, to jak słaba tkanka pajęcza, którą lada powiew wiatru zrywa i targa. Sami łudzimy się nieraz własnem szczęściem — wierzymy silnie, że przetrwa ono wszystkie burze — w tem uderza grom: rozbija i niszczy gmach naszych złudzeń i zostawia nas bezradnych, bezsilnych i zwątpionych wśród jego gruzów.

Nawet i familijne życie nie jest wolne ani zabezpieczone przed katastrofami, jakie zagrażają ludziom, pędzącym samotne życie — a zatem więcej wydanym na zmienne fale losów. Smutniejszym jednak stokroć objawem jest, że przed burzycielami szczęścia i spokoju drugich — nie ma żadnego zabezpieczenia, żadnej ochrony. Umieją oni wcisnąć się pod każdym pozorem i w każdym charakterze — w dom upatrzonej ofiary — a gościnność i dobre serce, krwawo odpłacają.

Taki smutny wstrząsający swą grozą dramat, rozegrał się w zeszłym tygodniu w Czortkowie. W miasteczku tem żył lubiany i poważany przez wszystkich urzędnik skarbowy. Zdawało się, że szczęście i pokój obrały sobie stałą siedzibę w skromnym domku komisarza Hilewskiego. P. Hilewski miał młodą, ładną żonę i małą córeczkę, które kochał nad życie. Skromna pensya urzędnicza wystarczała na wszystkie niewielkie zresztą potrzeby rodziny. Państwo Hilewscy nie prowadzili wielkiego i otwartego domu, żyli tylko w szczupłym gronie znajomych, do których należał także i porucznik 95 p. p., Knobel.

A jednak uderzył cios straszliwy, tem więcej że niespodziewany w gmach szczęścia małżeńskiego. Komisarz Hilewski bawił w obowiązkach służbowych w pobliskim Borszczowie na komisyi — w domu została tylko pani Hilewska z maleńką córeczką.

Siedziała właśnie w saloniku z robótką w ręce, gdy nagle drzwi się otworzyły i w płaszczu z czapką na głowie wszedł porucznik Knobel, dobry znajomy państwa Hileskich.

Równocześnie też z wejściem porucznika Knobla rozległ się strzał i z głuchym łoskotem padła śmiertelnie zraniona p. Hilewska na ziemię. W tej samej chwili rozległ się huk drugiego wystrzału. To oficer wypalił z kolei sobie z rewolweru w skroń i zwalił się z jękiem na ziemię.

Dwa wystrzały kolejno po sobie następujące, zaalarmowały dom cały. Wbiegłszy do salonu, zastała służąca państwa Hilewskich, straszny widok. Na ziemi leżały dwa ciała broczace we krwi własnej — w ostatnich jak się zdawało — przedśmiertnych konwulsyach, o czem świadczyło charczenie, wydobywające się z piersi umierających. Z okrzykiem: pani moja! pani! — rzuciła się do drzwi, chcąc szukać dla nieszczęśliwej ratunku. W tej chwili wpadła też do pokoju córeczka zamordowanej — i z przeraźliwym krzykiem rzuciło się nieszczęśliwe dziecko na ciepłe jeszcze zwłoki swej matki.

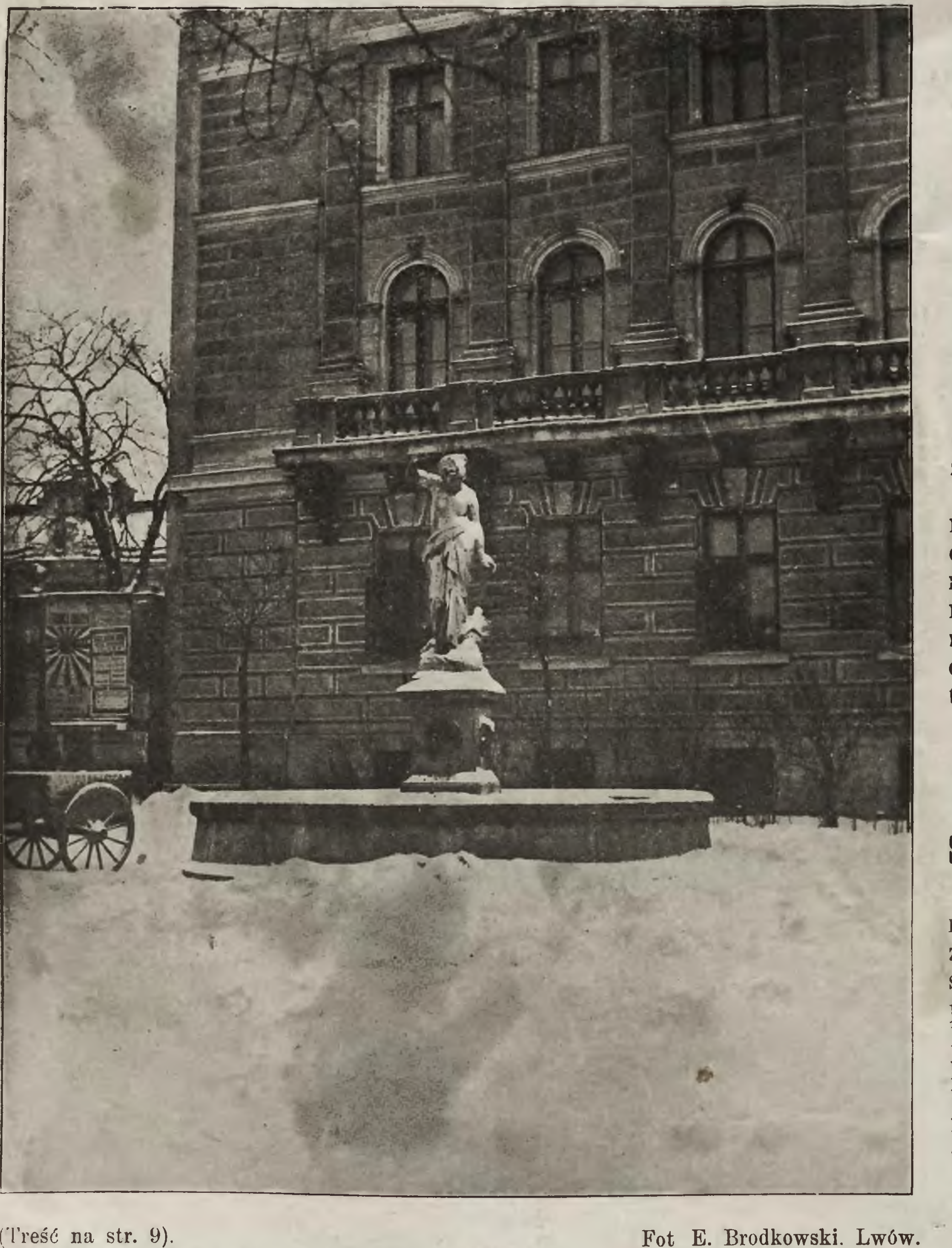
Służąca tymczasem pobiegła z tą straszną wieścią do najbliższego sąsiada pp. Hilewskich, pana kapitana Habycza. Ten zrazu nie mógł pojąć, co się stało, nie rozumiejąc bowiem po polsku, nie był w stanie porozumieć się ze służącą. Gdy dopiero na migi dała mu do zrozumienia o nieszczęściu — pobiegł kapitan do domu sąsiadów i sprawdził smutną wiadomość. Pomoc była tu już zbyteczną, pani Hilewska nie żyła, a zabójca jej ostatnie widocznie tchnienie wydawał, bijąc w konwulsyach głową i nogami o ziemię.

Kapitan wezwał natychmiast lekarza dla skonstatowania śmierci nieszczęśliwej kobiety—porucznika zaś kazał przenieść do szpitala wojskowego, gdzie też w największych męczarniach w kilka godzin później zakończył życie.

Niedocieczona tajemnica okrywa ten straszny dramat, a nieszczęśliwy mąż po powrocie do domu, napróżno gubił się w domysłach, opłakując tragiczną śmierć ukochanej towarzyszki.



Krwawy dramat miłosny w Czortkowie: S. p. Helena Hilewska, ofiara porucznika Knobla.



(Treść na str. 9). Fot E. Brodkowski. Lwów.

25-letni jubileusz artysty-rzeźbiarza: „Świtezianka“, pierwsze dzieło jubilata.

Nowy ros. minister spraw wewnętrznych.

Wiosnę w Rosyi, która miała się rozpocząć z chwilą objęcia ministerstwa spraw wewnętrznych przez księcia Świątopełk-Mirskiego, zmroziły wypadki styczniowe w Petersburgu, Moskwie i innych miastach na całym obszarze cesarstwa.

Wszystkie nadzieje, jakie przywiązywano do rządów ks. Mirskiego, prysły obecnie i nikt już dziś nie łudzi się tem, by Rosya mogła się przeobrazić ze zmianą ministra.

W Rosyi upadek ministra spraw wewnętrznych nie oznacza upadku gabinetu, któryby zbankrutował ze swym programem gdyż dymisya ministra zależy li tylko od woli cara.

Ks. Światopełk-Mirski, obejmując w miejsce zabitego Plewego stanowisko naczelne w państwie, miał za sobą sympatyę wszystkich wolnomyślnych i liberalnych sfer w Rosyi i z jego imieniem związano marzenie o nadaniu ludom w Rosyi konstytucyi. Wkrótce jednak okazało się, że mimo poparcia, jakiego doznawał od sfer mieszczańskich i od inteligencyi wolnomyślnej, nie potrafił przełamać wpływu dworu, arcyksiążąt i Pobiedonoscewa, którzy za wszelką cenę postanowili nie dopuścić do reform i podtrzymać reakcyę. Wpływ jego stał się niewidocznym i mimo silnego prądu wolnościowego w społeczeństwie, który mógł był poprzeć Mirskiego w zapowiadanych przez niego reformach, musiał ustąpić, czując się mimo wszystko odosobnionym i nie mogąc podołać reakcyi, która jak dzikie zielsko zachwaściła urodzajną glebę i nie pozwoliła ziarnu wolności wykiełkować i wyróść! I Mirski musiał ustąpić! Pozornie ustąpił dlatego, że zdrowie jego nie pozwalało mu oddawać się wytężonej pracy, jaka czeka każdego ministra. Ale to tylko dla pozoru wymyślono taki, a nie inny powód dymisyi Mirskiego, gdyż dwór nie miał odwagi posłać w „duraki“ ministra, popieranego w jego zamiarach przez wolnomyślną część społeczeństwa rosyjskiego.

Następcą Mirskiego został Aleksander Bułygin. Bułygin był pomocnikiem okrutnego księcia Sergiusza, byłego gubernatora Moskwy. Znanym jest ze swych konserwatywnych przekonań — to też nad powołaniem jego na stanowisko ministra spraw wewnętrznych cała prasa liberalna przeszła do porządku dziennego.

Karyera urzędnika Bułygina była następująca: urodzony w roku 1854. skończył Bułygin w roku 1871 cesarską szkołę prawniczą i w roku 1872 został zamianowanym sędzią śledczym w Kijowie. W roku 1874 zostaje pomocnikiem gubernatora saratowskiego, a w roku 1879 obejmuje naczelne kierownictwo i nadzór nad wszystkiemi więzieniami w Rosyi. W roku 1886 zostaje wicegubernatorem Tambowa, a w rok potem gubernatorem Kaługi. W r. 1893 został zamianowanym gubernatorem Moskwy i w 9 lat potem został powołanym na pomocnika generalnego gubernatora moskiewskiego, księcia Sergiusza.

Na tem stanowisku pozostając, został zamianowanym ministrem spraw wewnętrznych.



Ruch siczowy w Galicyi: Wiec „Siczy" w Stanisławowie.

Ruch siczowy w Galicyi.

Radykalizm tkwi w krwi Rusinów. Położenie i historya tego narodu chłopskiego sprawiły, że Rusin rodzi się radykałem.

Brak znaczniejszych zastępów inteligencyi, brak znaczniejszej i wystarczającej liczby instytucyi kulturalnej sprawiają, że lud ruski powoli dźwiga się z wielkiej ciemnoty i daje dowody, że interesuje się żywo swą dolą jako zbiorowej całości. Choć drogi, jakiemi kroczy polityka ruska, nie wszystkie są dobre, choć dopiero co rozbudzony i występujący na arenę samoistnego życia publicznego lud ruski chwyta się dróg często fałszywych i nie prowadzących do celu — to jest to zwykłym warunkiem każdego początkującego ruchu narodowego. Moskalofilstwo, szowinizm i nienawiść narodowa znikną, gdy naród podniesie się na wyższy stopień kulturalny, a uświadomienie polityczne ogarnie najszersze warstwy.

Historya uczy nas, że zwykle zwycięża prędzej czy później ten kierunek, który naprawdę jest wyrazem zrozumiałych i odczutych przez szerokie warstwy ludności potrzeb społecznych i dlatego można być spokojnym, że choć chwilowo ruch polityczny może szuka dróg po omacku, to wkrótce wejdzie on na pewne drogi, gdyż każdy rok przynosi przecie liczne zmiany i doświadczenia, a naród przekona się praktycznie o tem, jakie drogi prowadzą do celu.

Należy w każdym razie stwierdzić, że inicyatywa została raz w tym kierunku dana, a rozbudzone szerokie masy ludności, o ile dojdą do dokładnego zrozumienia swych interesów i potrzeb, nie będą szczędziły kosztów i sił na podniesienie kulturalne całego narodu.

Stronnictwo radykalne ruskie, którego jednym z najenergiczniejszych przywódców jest Dr. Cyryl Trylowski, adwokat w Kołomyi, poczęło od 3 lat zakładać towarzystwa p. t. „Sicz".

Celem „Siczy" jest wedle ich statutów: niesienie pomocy podczas pożarów, nauczanie gimnastyki i atletycznych zabaw, rozbudzanie życia towarzyskiego i oświaty między swoimi członkami.

„Siczy" jest w Galicyi około 270 zaś na Bukowinie 70. Większa ich część istnieje w powiatach: kołomyjskim, kossowskim i śniatyńskim, mniej w horodeńskim, borszczowskim, a po kilka w powiatach: stanisławowskim, bohorodczańskim i zabłotowskim.

Zeszłego roku rozeszły się pogłoski w powiecie kosowskim, że „siczownicy" zamierzają wyrznąć Polaków i Żydów a nawet wymieniano dzień (św. Jura, 5 maja), w którym ma ta rzeź nastąpić. Władze zarządziły wówczas kilka aresztowań, do Żabiego i okolicznych gmin sprowadzono wojsko, wysłano specyalną komisyę sądową do śledzenia sprawy, lecz śledztwo wykazało, że tu i ówdzie kursowały takie pogłoski, jednak o podobnym zamiarze nikomu się ani śniło, zwłaszcza, że huculi słyną jako naród odznaczający się szczególną łagodnością.

Od tego jednak czasu poczęły władze pilnie baczyć na czynność „Siczy", a w b. r. odbył się przed lwowskim trybunałem karnym proces karny przeciw Dr. C. Trylowskiemu i jednemu z włościan, który zakończył się zasądzeniem pierwszego na 6, drugiego zaś na 5 tygodni aresztu.

Ruska prasa niechętnie patrzy na rozwój „Siczy", bo zwrócony on jest przedewszystkiem przeciw klerykalnej inteligencyi ruskiej.

Dr. Trylowski znanym jest jako nieubłagany przeciwnik duchowieństwa, to też w statutach „Siczy" wyraźne jest postanowienie, że ksiądz nie może być ich członkiem.

Ruch siczowy znajduje poparcie w dość szerokich kołach społeczeństwa ruskiego w Galicyi, tem bardziej, że przeciwdziała on moskalofilskim prądom i prowadzi intenzywną kulturalną pracę pośród ludu ruskiego.



Nowy rosyjski minister spraw wewnętrznych: Aleksander Bułygin.



Ruch siczowy w Galicyi: Dr. Cyryl Trylowski, organizator „Siczy" w Galicyi, skazany na sześciotygodniowy areszt.



20 (Ciąg dalszy).

POWIEŚĆ.

Obecnie, wracają z Solca, gdzie w równie obskurnym szynku dała im rendez-vous Ciupaga.

Krótko, lecz jasno i zrozumiale, przedstawiła obojgu swoje plany. Dobrana para uznała je za wyborne, oświadczając, że chętnie opuści stolicę, żeby z kabalarką udać się na prowincyę.

Doprowadzenie jednak zamiaru do skutku, połączone było z pewnemi trudnościami. Przedewszystkiem trzeba było kupić zdrowego, silnego i rosłego konia; nadto wyrestaurować i pomalować na nowo czterokołową budę Ciupagi; na takie zaś dwa wydatki, ani ona, ani Czupiradło nie mieli pieniędzy; żeby im stawić czoło, należało koniecznie, choćby Bóg wie zkąd, wytrzasnąć przynajmniej sto rubli — a tu, jakby na złość, kieszeń pierwszej i drugiego były zupełnie puste.

To też Czupiradło, sącząc piwo z kufelka, rozmyśla znowu o pałacu Jelskich, i po namyśle z zamiaru swego Złotej-Rączce się zwierza.

— Tak, tak – przytwierdza baba – chyba w istocie tego ostatecznego środka chwycić się musimy.

— Dziś jeszcze... w nocy...

— Masz racyę... dzisiejszej nocy...

— W pałacu nikt nie mieszka, a skarbów w nim, co nie miara. Trzeba wziąść z sobą ręczny wózeczek. Napakujemy go różnościami, dywanami, bronzami, srebrami stołowemi... Słowem, co tylko da się szybko zabrać! Można będzie juchcić śmiało i bez obawy, bo to cyrkuł, w którym mieszkają sami wielcy panowie, więc stójkowych nie kręci się tam wielu... a już co nad ranem, to zawsze niema żadnego. Rózię i Janka postawimy na straży przed bramą, a my, we dwoje, wsuniem się do środka, żeby robotę jak najrychlej załatwić.

— Nie, nie... do środka nie wejdę. Wolę stać i pilnować na ulicy. Do wnętrza weźmiesz ze sobą podrzutka... Graziellí zaś z budy wyciągać nie wypada, niech biedactwo wyśpi się spokojnie...

— Czemu nie ma iść z nami u licha?

— Jeśli kraść nie chce, nie należy jej do kradzieży przymuszać... To dziecko delikatne... Gotowa zrobić to samo, co Pietrek i pewnego poranka drapnąć nam niespodzianie.

— Oj, te mikrusy. W rzeczy samej, żadne w nas się nie wdało. Powiedz kobieto, skąd się w nich taka cnota bierze?

— Podobne do mojej matki... Czy ją pamiętasz?... a dworek nasz z ganeczkiem, ocieniony gałęziami dzikiego wina?... Jak tam było ślicznie, o Boże!... Za dworkiem sad śliwkowy... a niżej łąka... taka zielona! pełna rozlicznego kwiecia!... Czy pamiętasz?

— Jakże nie miałbym pamiętać!... Ileż to razy, gdyśmy byli dziećmi, bawiliśmy się przed nim w kurzu, na szerokim gościńcu, prowadzącym do miasta... Lecz to takie oddalone i głupie czasy, że lepiej o nich nie wspominać... Każde z nas z osobna, po porzuceniu stron rodzinnych przeżyło tyle... tyle się nacierpiało i naponiewierało w pośród ludzi, że niemądrze byłoby żałować tego, cośmy własnemi zdeptali nogami. O, przeszłość!... Żal myśleć o niej... Ha! ha! przesąd.. śmieszny przesąd!

Jednym tchem wypróżnił kufel do dna. Złota-Rączka westchnęła głęboko.

— A jednak... a jednak!

Po chwili ciągnęła dalej:

— Piotruś mi matkę przypomina... W żyłach jego płynie jej krew uczciwa... Gdy my... och Boże!

— Gęś jesteś! Po co się rozczulasz?

— Pietrek uciekł... i nie wróci więcej. Tęsknię za nim... Graziella jedna nam pozostała, lecz jeśli chcesz by nas nie opuściła, nie powinniśmy jej mieszać z naszemi brudnemi sprawami. Niech sobie śpi spokojnie w budzie. Mamy przecie podrzutka, zabierzesz go z sobą do pomocy...

— Przyrzekłem Ciupadze, że dostarczę jej jutro pieniędzy na kupno konia, więc tej jeszcze nocy mieć je muszę...

— No, no... nie martw się, pojedziem rabować... do Jelskich pałacu...

— O, rabować!... Zjuchcę parę kawałków; tyle tylko, ile nam koniecznie potrzeba...

— Każ dać sznapsa... mocnego! Na kuraż, trzeba łyknąć kilka kieliszków... i... i żeby, żeby zapomnieć... Ja widzisz, jeśli mam przydać się na co, muszę być pijana...

Czupiradło wstał od stołu, przeszedł do pierwszej izby z szynkfasem — i po chwili powrócił z butelką araku.

— To nam odwagi doda – rzekł napełniając kieliszki.

W godzinę potem, godna para, zataczając się i potykając co moment, wysunęła się z szynku na ulicę.

Noc była mroźna, wietrzna, ale pogodna. Księżyc płynął po ciemnym szafirze, gdzie niegdzie ledwie splamionym szaro-popielatym obłokiem.

— Noc jasna, noc głupia! – szepnął Czupiradło, wznosząc w górę krwią nabiegłe oczy.

— To możebyśmy nasz interes na inną odłożyli?

— Nie podobna! Przyrzekłem Ciupadze pieniądze...

Na progu budy stała Rózia, okryta chustką wełnianą.

— Czy masz jeszcze nadzieję, że Piotruś powróci? – spytała Złota-Rączka.

— O, nie. Czekam na Janka.

— Niema go w domu?

— Już dość dawno, jak poszedł, z figurkami na głowie.

— No, no! co za dziwo, zaśniad bierze się do roboty!

W pewnej odległości od budy rozległ się w tej chwili piskliwy głosik, wołający:

— *Belle... belle figurine!*

— Ot i Kwiat-Nędzy! Musiał coś sprzedać bo śpiewa.

W rzeczy samej chłopak wracał z pustą deską i kieszeniami wypchanemi grubą monetą miedzianą. Sprzedał wszystko. Oczy jego błyszczały radością, wiedział bowiem, że sukcesem swoim Graziellkę ucieszy.

— Widzisz!... Cały towar w kurs puściłem... lecz nie bez trudu! Nie bacząc na głód i chłód, musiałem się nabiegać niemało, żeby sprzedać co do jednej figurki. Ba!... ale chciałem koniecznie przynieść ci dużo pieniędzy.

Nie widział nikogo prócz Rózi, która powitawszy go serdecznie, podała mu szklankę gorącego mleka. Uwarzyła je umyślnie dla niego.

— Zadowolony jestem z ciebie – rzekł Czupiradło. Podobasz mi się. Jeśli tak będziesz postępować dalej, zastąpisz nam Piotrusia... tego łobuza bez serca, który rodziców swoich porzucił. Lepszy jesteś od niego... o! lepszy... bo, domyślam się, że pamiętasz, cośmy dla ciebie uczynili. Bez nas dawno już zdechłbyś gdzie z głodu na ulicy!... Wszyscy, ile nas jest, dbamy o naszego Kwiatuszka... i dbać zawsze będziemy. Graziella ugotowała ci mleka... i dobrze zrobiła. To się jej chwali. Wypijże czemprędzej, bo pójdziesz z nami.

Chłopak zadrżał całem ciałem.

— Nie trząś się tak bardzo chłopaczku – powiedziała Złota-Rączka, głaszcząc go po twarzy – nic złego ci się nie stanie. Przecież tylko samego dobra wszyscy ci życzymy. Jeśli usłużysz nam jak należy, uważać cię będziemy, jakby za naszego drugiego, rodzonego syna. W tym tygodniu jeszcze mamy opuścić Warszawę. Ruszymy w świat piękny i szeroki, w wozie zamkniętym, ciepłym, podobnym do karety... nie, raczej do tramwajowego wagonu... Ciągnąć go będzie dzielny, żwawy koń... bijący podkutemi kopytami o ziemię: taf, taf, taf, ta!... Wybierzemy się wszyscy razem. Ty z nami... Zobaczysz jacy będziemy szczęśliwi!

To mówiąc najpieszczotliwszym tonem, wyciągała powoli oszołomionego chłopaka przed dom na ulicę, gdzie już czekał na nich Czupiradło z wypożyczonym od sąsiadów wózeczkiem.

— Chwyć Kwiatku za dyszel i ciągnij; ja z tyłu popychać będę, a Czupiradło, idąc przodem, wskazywać nam będzie drogę.

Janek waha się momencik, lecz Czupiradło krzyczy na niego:

— Prędzej, mikrus! jazda! Szkoda drogiego czasu.

I chłopiec ciągnie wózeczek, ile mu sił starczy, lecz po niejakimś czasie zadyszał się i ustaje.

— Czy się ty ruszysz próżniaku? – woła Złota-Rączka.

— Dokądże mi tak iść każecie? – jęknął Kwiat-Nędzy.

— Tam, gdzie Pietrek pójść odmówił – odpowiada Czupiradło tonem szyderczym.

Janek zrozumiał – i ruszyć z miejsca nie chce. Lecz nędznik przyskoczył do chłopaka, wydobył nóż składany z zanadrza, otworzył go i ostrzem błyszczącem mignął mu przed oczami.

— Jeśli nie pójdziesz, zabiję cię jak psa. Czy rozumiesz?

Kwiat Nędzy cofnął się w tył przerażony. Wtem baba chwyciła go za ramiona, wsadziła mu dyszel w ręce, szarpnęła nim nagle naprzód – i dzieciak idzie znowu, ciągnąc za sobą wózek.

Druga wybiła, gdy Czupiradło, Złota-Rączka i Janek, stanęli nareszcie przed zewnętrzną kratą pałacyku Jelskich.

— Przełaź przez kratę! – szepnął pijak, podnosząc już nie opierającego się chłopca w górę. Ja za tobą.

Kwiat-Nędzy, jakby zahipnotyzowany i pozbawiony wszelkiej woli, zeskoczył do ogródka, ciągnącego się przed pałacem, wzdłuż Alei. Po chwili, znalazł się przy nim Czupiradło.

Bezwzględna cisza panowała wokoło, a niebo granatowe iskrzyło się gwiazdami.

Złota-Rączka, stojąca na straży przed kratą, spoglądała bacznie na prawo i lewo.

Pijak ukląkł i zmusił chłopca do przyklęknięcia także na śliskiej powłoce zmarzniętego i ubitego śniegu. Poczem, pochylając go przed sobą, czołgał się na czworakach ostrożnie aż do tylnych drzwi, wychodzących na ogród, mrucząc cicho pod nosem:

— Wszystko dobrze! Wydostaniemy się stąd za kilkanaście minut... i będziem bogaci, bardzo bogaci. Słyszysz! To, co się tam znajduje, nie należy do nikogo, możemy więc zagarnąć, co się nam spodoba. Nie trząś się... i nie sap, bo cię tam zamknę i zamkniętego na pastwę złym duchom pozostawię.

Wydobył z kieszeni pęk wytrychów. Jednym z nich drzwi otworzył.

— No, jesteśmy nareszcie u celu. Uważaj! Stąpaj, jak ja, na palcach, cichuteńko... Nie obawiaj się, tu niema nikogo, a w Alejach pilnuje Złota-Rączka. W razie niebezpieczeństwa gwizdnie, a my zaraz w nogi! Zanim to jednak nastąpi, możemy juchcić swobodnie.

Dzieciak nie odpowiada. Przez gardło jego, zdławione oburzeniem i grozą, przedrzeć się nie może ani jedno słówko. Drży i milczy.

Czupiradło wlecze go za sobą z pokoju do pokoju. Odgłos ich kroków głuszą kobierce, rozpostarte na posadzkach od ściany do ściany. Panująca tu głęboka cisza, przejmuje ich jednak mimowolną trwogą, a na czołach obu pot chłodny perli się gęstemi kroplami. Czupiradło nie kradł z włamaniem nigdy jeszcze w życiu, więc zabiera się do dzieła niezgrabnie i z lękiem, pokonywanym przez chciwość, rozsadzającą mu piersi.

Zapalił stoczek. Widok bogatej komnaty, obitej wspaniałą materyą, zapełnionej zagranicznymi meblami, olśnił go w pierwszej chwili. Na marmurowym, monumentalnym kominie, stoją świecące się kandelabry bronzowe; na etażerkach statuetki z kości słoniowej, oraz rozmaite srebrne i włoskie figurki renesansowe; w szafach oszklonych, o pułkach pochyłych, wysłanych purpurowym aksamitem — medale i monety starożytne.

— Widzisz! widzisz!... to wszystko nasze... Bierz! porywaj!

Lecz Janek nie śmie nic ruszyć. Więc Czupiradło sam chwyta, co cenniejsze mu się wydaje, i napełnia drobnymi, lecz drogimi przedmiotami kieszenie chłopca.

Nagle rozlega się głuchy, niewyraźny, oddalony odgłos kroków... Potem dźwięk mowy ludzkiej tętni wśród komnat złowrogo.

— Czy słyszysz? — szepcze złodziej, gasząc stoczek.

Dzieciak trzęsie się ze strachu, szczękając zębami.

— O mój Boże! mój Boże! chciałbym uciec... wydostać się z tego domu... Ktoś tu idzie... za moment nadejdzie...

Ogląda się i spostrzega, że jest sam. Czupiradło w jednem mgnieniu oka ulotnił się niespodzianie. Chłopak pragnie uciec także, lecz po ciemku do drzwi trafić nie może. Rozbija się i rzuca w różne strony; wreszcie z sił wyczerpany, pada zemdlony za firanką, zwieszającą się od stropu do dywanu. Ta firanka i meble, stojące w pobliżu, zasłaniają zupełnie nieruchome ciało Janka, leżące w zagłębieniu framugi, obramiającej jedno z okien komnaty.

Nagle uchyla się kotara w głębi. Podwoje, dotąd zakryte, otwierają się szeroko. Wchodzi niemi kobieta młoda i piękna; za nią mężczyzna młody i piękny, trzymając zapaloną lampę w ręku. Blask z niej oświeca znaną nam pracownię hrabiego Jelskiego.

— Marcelina — bo czytelnik domyślił się już pewno. że to ona z Kazimierzem Molskim weszła do gabinetu nieboszczyka męża — usiadła na jednem z krzeseł i oczy zakryła rękami. Kilka minut upłynęło zanim podniosła głowę i przemówiła zdławionym głosem:

— Powiadam ci, że sznur jedwabny, którym opasywałam się zwykle, tu tylko być może. Nie wyjdę z tego domu, dopóki go nie znajdę.

— Sznur skradziono, powtarzam. Skradł go ktoś, znający naszą zbrodnię...

— Nie, Kazimierzu... nie! Nikt skraść nie mógł! Znajdziemy go tu... może w buduarze, albo w sypialni. Jasnowidząca mi powiedziała, że w tym pałacu pozostał.

— Jasnowidząca!... I ty... ty, dajesz wiarę jakiejś oszustce z pod ciemnej gwiazdy, która cię wyzyskuje? Ależ to doprawdy śmieszne! O, droga moja, nie jesteś już osobą rozsądną, jaką byłaś niegdyś. Tak straszliwie zmieniłaś się pod każdym względem, że wydajesz mi się zupełnie niepodobną do dawnej Marceliny. Nie śmiesz w dzień wychodzić ze swego mieszkania, przy ulicy Wiejskiej, bo przekonaną jesteś, że każdy z lic twoich wyczyta straszną tajemnicę, jak głaz ciążącą na życiu naszem. Wszystko w tobie uległo przemianie; nawet wyraz twojego wzroku odmienił się bezwzględnie. Zamiast dumy i uporu, oczy twoje płoną teraz szałem i obawą... która sprawia, że drżysz nieustannie.

Hrabina nie zaprzeczała.

Cicha i milcząca, zdawała się być pogrążona w jakimś śnie, czy marzeniu tragicznem, narzuconem jej wyobraźni przez nadprzyrodzoną siłę.

— Miłość moja, już nie łagodzi zgryzot, szarpiących twojem łonem i nawet na chwilę cię nie uspokaja — mówił Molski dalej, pochylając się nad kochanką i dotykając wargami jej włosów. — Zapomnieliśmy niemal, żeśmy się niegdyś kochali, bo, przyznaj, lękamy się niekiedy siebie samych wzajemnie... lękamy się cieni własnych...

— Och, Kazimierzu!... Kazimierzu!

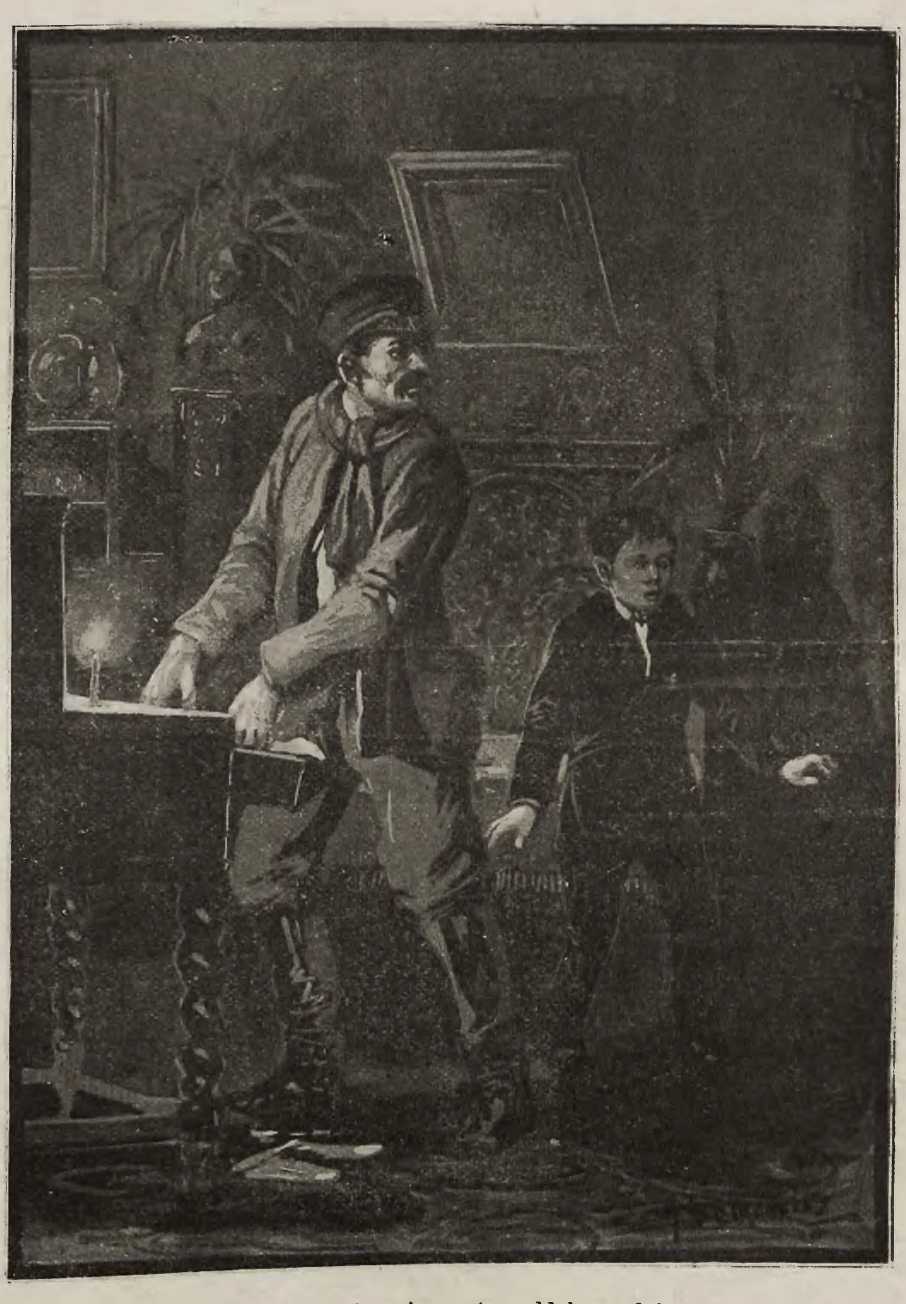
— Tak, tak!... Lękasz się, żebym się nie wygadał... żebym się nie przyznał do zbrodni. Obawiasz się sądu i wyroku, a ten przestrach jest tak wielki, że prawie co dzień pragniesz uciec stąd daleko... daleko i nigdy do kraju nie wrócić. I ja nosiłem się długo z myślą ucieczki. a jeślim dotąd nie wyjechał z Warszawy, to tylko dla tego. że musiałbym opuścić na zawsze najdroższe mi dwie istoty... ojca i siostrę!

— O, ja nie żałowałabym nikogo — rzekła Marcelina, uśmiechając się gorzko. Jestem obecnie sama jedna na świecie... osamotniona zupełnie. Siostra, którą kochałam, przed laty, znikła gdzieś bez śladu. Syna jej nie wolno mi widywać. Miałam dziecię ubóstwiane... Gdybym je miała przy sobie, mogłabym miłością dla niego wypełnić całe życie... niestety! dziecko to wykradziono... odszukać go nie mogę... i myślę nieraz z rozpaczą w sercu, że może go nigdy nie znajdę...

Zamilkła, pochylając głowę na piersi. Łzy trysły z jej oczu.

Kazimierz zbliżył się do wzruszonej, ukląkł przed nią i ujął jej rączki w swoje dłonie.

— Chodźmy stąd... zaklinam cię, chodźmy stąd... i nie wracajmy tu nigdy. Dla czego powracasz do tego przeklętego domu... do tego przeklętego pokoju, z którym łączą się tak groźne dla nas wspomnienia? Nie znajdziesz tu sznura, którym się opasywałaś, bo ja sam... pamiętam to niezawodnie... włożyłem go do komody w twojej sypialni. Przecie wiesz, że już szukaliśmy go tutaj nieraz... Pewny jestem, że go ktoś skraść musiał, a nędznik posiadający go obecnie, czeka cierpliwie na dogodną chwilę wyzyskania nas. Nie należy jednak rzeczy brać zbyt tragicznie. Za kilka tysięcy rubli sznur wykupię niezawodnie, a wtedy odzyskasz względny przynajmniej spokój.



Nagle rozlega się głuchy, niewyraźny oddalony odgłos kroków...

— Tylko służba pałacowa miała wstęp do mego buduaru i sypialni — zawołała Marcelina, przechodząc nagle z stanu biernej apatyi do gwałtownego uniesienia — lecz czy podobna odgadnąć która, lub który, z dawnych sług moich, sznur sobie przywłaszczył?

— Selim... murzyn.

— Selim?

— Tak, Selim!... jedyny, którego nie odprawiłaś. Czytam to codziennie w jego oczach. On, jak jastrząb wróbla, trzyma nas w szponach swoich... Tylko on wydać nas może...

Marcelina roześmiała się szyderczo, a w głośnym jej śmiechu tętnił szał, gniew i groźba.

— Jeśli tak jest, dla czego go nie zabijesz?!... Zamorduj świadka naszej zbrodni!... Jeśli mnie tak mocno kochasz, jak to mówiłeś nieraz, usuń z mojej drogi strasznego człowieka, uwolnij mnie od niego raz na zawsze... Ach! zdajesz się nie pojmować dla czego obłęd chwyta się mojej biednej głowy. Słuchaj, ja się boję... boję... boję! Dla tego przychodzę tu po nocach, potajemnie, skrycie... dla tego szukam sznura... i listów, w których namiętnymi wyrazami przyrzekasz, że, gdy owdowieję, zaraz mnie poślubisz. Tych listów dotąd także nie znalazłam... Domyślam się, że ręka, która sznur skradła i listy skraść musiała. Oskarżają cię one... Ujawnienie ich zgubić cię może... A ty, pomimo to, pozwalasz, aby człowiek, który je posiada, żył blisko nas i chodził swobodnie po świecie!

Kazimierz wstrząsnął się cały. W spojrzeniu jego malowała się złość i oburzenie.

— Nic prostszego, jak zapłacić tego człowieka aby milczał... zapłacić z milionów, które ukradłaś tu z tej kryjówki... bo ja zabić go nie chcę... Nie, tego nigdy nie uczynię. Wyzwać na pojedynek nie mogę, podstępnie zaś nie targnę się na niczyje życie!

— Ty mnie już nie kochasz! — krzyknęła hrabina.

— Kocham cię, jak dawniej.

— Kłamiesz!

— Każde twe zachcenie jest dla mnie rozkazem. Czy nie co noc prawie przychodzę tu z tobą szukać domniemanych świadectw naszej zbrodni? Czy nie jestem ciągle dalej wspólnikiem każdego twego czynu, dobrego, czy złego? A ty mówisz, że cię nie kocham!

— Nie, nie! Miłość twoja nie jest tak silną, jak niegdyś.

—Nie mów tego. Wiesz, że zawładnęłaś całem mojem sercem, że dla ciebie wyrzekłem się niemal rodziny, że nie widuję się z ukochaną siostrą, że zdeptałem wszystkie ludzkie uczucia, prócz jedynego, które mnie z tobą wiąże. Kocham cię... kocham dotąd namiętnie... lecz rozbójnikiem, skrycie dybiącym na życie ludzkie, nie stanę się nigdy... za nic w świecie!

— W takim razie, ja sama w łeb mu strzelę!

— Marcelo! Marcelo!... oszalałaś chyba!

Na ich twarzach, oświetlonych mdłym płomieniem lampy olejnej, wyczytać można było rozpacz wielką.

Nagle, oczy ich, utkwione w siebie wzajemnie, zamigotały wyrazem strasznego przerażenia. Zadygotali oboje, bo coś zaszeleściało w pobliżu...

To Kwiat-Nędzy powstał na nogi za firanką — Kwiat-Nędzy, który wszystkiego, co mówili, wysłuchał. Chłopak ocucił się przed kwadransem, a teraz przez szparę niedociągniętych do siebie fałdów draperyj, wpatrywał się niemal nieruchomy i milczący w postacie kobiety i mężczyzny, stojące na środku pokoju. Widział już je kiedyś. Lecz gdzie? gdzie?... Nie pamięta.

Marcelina roześmiała się pierwsza — dziwnym jakimś, bolesnym, nerwowym śmiechem.

— Wszystko... byle co nas przeraża... Ciała nasze, jak liście osiny, trzęsą się za lada wiatru powiewem...

— Bo sumienia mamy zamącone aż do dna... bo na sumieniach naszych ciąży wyrok, skazujący Marcina Żarskiego na Sybir, oraz nieszczęścia całej jego rodziny, rozproszonej obecnie po świecie tak, że śladów jej odnaleść nie podobna.

Janek zadrżał całem ciałem i uchwycił się firanki, żeby nie upaść.

— Napróżno — mówił dalej Kazimierz — dopytywałem się wszędzie o dwie jego córeczki, Sabinę i Zosię. Nie otrzymałem nigdzie żadnej wskazówki, co z niemi stać się mogło. Co zaś do synka Żarskiego, słabowitego i wątłego dzieciaka, taż sama panuje niewiadomość. równie w zarządzie policyi, jak w lokalach, zamieszkiwanych przez babkę, która także zaginęła. Chłopczyna znikł jak kamień, rzucony w rzekę; wszyscy przepadli... niewiadomo, gdzie ich szukać. Pewno znoszą straszną nędzę i poniewierkę. C. d. n.



Pogrzeb studenta zabitego przez żołdaków: Kondukt pogrzebowy studenta uniwersytetu Dzierzbickiego, konwojowany przez oddziały kozaków, zdąża Nowym Światem na Powązki.

Pogrzeb studenta zabitego przez żołdaków.

Szereg gwałtów, zbrodni i złodziejstw, popełnianych na najspokojniejszych mieszkańcach miast polskich — oto krótka charakterystyka historyi ostatniego tygodnia w Królestwie Polskiem. Żołdactwo korzystało z tego, że mu oddano pieczę nad spokojem w mieście i dokonywało istnych orgij!

Wszystkie ulice przedstawiają jeden obraz zniszczenia. Ulicami nie wolno chodzić kilku osobom, gdyż do trzech zebranych osób na ulicy wojsko strzela. A gdy ktoś idzie sam — zostaje obrabowanym przez napastujących każdego przechodnia żołnierzy i policyę.

Dnia 30 stycznia, w poniedziałek, a więc w trzeci dzień strejku w Warszawie, został na ulicy Marszałkowskiej zabity student medycyny Karol Dzierzbicki, który spokojnie idąc chodnikiem, wracał do domu.

Oto opis zajścia, jaki podaje korespondent „Nowej Reformy“:

„Na rogu Szpitalnej i Brackiej, po prawej stronie chodnika, przechodził jakiś student; w stronie ulicy Marszałkowskiej rozległo się kilka strzałów i student padł. Podbiegłem do niego, lecz nie dawał znaków życia, a tylko z rany poniżej ucha krew się sączyła. W chwilę nadbiegło kilku studentów i zabrali... trupa“.

Pogrzeb studenta odbył się we środę przy bardzo licznym udziale studentów warszawskich i publiczności. Trumnę obwieszono wieńcami. Żałobny pochód postępował wolno, a pomruk złowrogi rozchodził się w stronę towarzyszących pogrzebowi kozaków.

Policya usuwała tłum, a środkiem zwolna szedł kondukt pogrzebowy.

Wzburzenie było tak wielkie, że spodziewano się, iż bez krwi rozlewu się nie obejdzie. Na szczęście pogrzeb odbył się spokojnie i publiczność polska, aczkolwiek prowokowana na każdym kroku przez żołdactwo i policyę, stłumiła w sobie burzę, która gdyby była wybuchła, pociągnęłaby za sobą mnóstwo ofiar.

A żołdactwo rosyjskie niczego innego nie pragnęło, jak tylko rozlewu krwi i sposobności do wyładowania swej dzikości i żądzy mordu na spokojnych mieszkańcach.



Przesilenie austro-węgierskie: Hr. Agenor Gołuchowski, minister spraw zewnętrznych.

Przesilenie Austro-Węgierskie.

Kierujący od roku 1895 ministerstwem spraw zagranicznych, Agenor hr. Gołuchowski, ma ustąpić. Wieść ta obiegła całą prasę europejską. Zwiastuje ona, że przesilenie w Austro-Węgrzech nie ukończone i choć bar. Gautsch zajął miejsce prezydenta ministrów i zażegnał na chwilę walki narodowościowe między Czechami a Niemcami, to druga połowa monarchii przechodzi przesilenie, które jest tak silne, że obala i austryackich ministrów.

W poprzednich numerach, pisząc o wyborach na Węgrzech, zaznaczyliśmy, że zwycięstwo opozycyi doprowadzi do poważnych komplikacyj politycznych. Jest rzeczą pewną już dziś, że zwycięstwo opozycyi pociągnie za sobą cały szereg ustępstw poważnych ze strony rządu dla Węgrów i że te ustępstwa, osiągnięte w walce podjętej pod sztandarem niezawisłości Węgier, wzmocnią szeregi opozycyi tak, że zupełnego zwycięstwa jej politycznego programu, należy się spodziewać w najbliższej przyszłości.

A zrealizowanie najważniejszego postulatu partyi Kossutha: zdobycie niezawisłości i całkowitej odrębności Węgier od Austryi, połączonych ze sobą tylko unią personalną, pociągnęłoby za sobą zupełną zmianę kursu polityki austryackiej. Nie sposób by było odmawiać narodom i ludom reprezentowanym w Radzie państwa tych samych praw, któreby się przyznało Węgrom. Austrya musiałaby zapewnić jak najdalej idące koncesye narodowe wszystkim ludom zamieszkującym Cislitawię i idea autonomii narodowościowej musiałaby zostać zrealizowaną. Taka decentralizacya polityczna jest koniecznością, przed którą Austrya chcąc, czy nie



Epilog zbrodni w hotelu Kleina: Ofiara dr. Piotrowskiego — J. Brzozowska.

chcąc, stanąć będzie musiała, a stanąwszy przed tak ważnem zagadnieniem, mieć odwagę i siłę je rozwiązać!

Hr. Tisza upadł i jego polityka zbankrutowała w zupełności. tak, że teraz wobec wyniku wyborów i wobec zwycięstwa opozycyi stoi cesarz zakłopotany nie wiedząc, w czyje ręce oddać ster rządów.

Przywódcy opozycyi codzień bywają wzywani na audyencyę do cesarza, a sytuacyę dzisiejszą trudno rozwiązać inaczej, jak tylko przez spełnienie żądań Węgrów!

Ta zmiana kursu polityki rządowej, zachwiała stanowiskiem ministra spraw zagranicznych hr. Gołuchowskiego. Minister Gołuchowski miał być tym. który popierał hr. Tiszę i przedstawiał cesarzowi sprawy węgierskie w świetle niezupełnie jasnem. Upadek Tiszy zachwiał powagą i stanowiskiem Gołuchowskiego, który faworyzował byłego premiera węgierskiego. Cesarz ma w najbliższych dniach przyjąć wiele osobistości z rozmaitych stronnictw, aby usłyszeć ich opinię o położeniu i otrzymać bezpośrednie wyjaśnienia o sytuacyi i ich stanowisku. Czy Gołuchowski ustąpi rzeczywiście — o tem doniosą telegramy w dniach najbliższych.

Epilog zbrodni w hotelu Kleina.

Potworna, podwójna zbrodnia, rozegrana przed niedawnym czasem w hotelu Kleina w Krakowie, nie przestaje zajmować umysłów w mieście. Ogólne oburzenie na sprawcę nieszczęścia, podsycane było ustawicznie szczegółami i szczególikami — przedostającymi się ze szpitala, gdzie ofiara rozbestwionej namiętności — piękna i młoda kobieta, walczyła w ostatnich dniach ze śmiercią.

Panna Brzozowska, jak o tem w ostatnim numerze pisaliśmy — po skonstatowaniu na miejscu przez policyę zbrodni, została w nieprzytomnym stanie przewiezioną do szpitala, na oddział chorób wewnętrznych prof. Pareńskiego. Przebieg choroby zapowiadał się nadspodziewanie dobrze i kuracya postępowała z dniem każdym. Chora zaczęła sama przyjmować pokarmy i odzyskała do tego stopnia siły fizyczne i umysłowe, iż ordynujący lekarz zgodził się na przesłuchanie jej przez władze sądowe. Śledztwo pierwiastkowe nie wydało jednak pożądanych rezultatów.

Chora, aczkolwiek zupełnie przytomna i zdająca sobie dokładnie ze wszystkiego sprawę — nie pamiętała absolutnie, co się z nią w krytycznej chwili działo. Zaniechano więc dalszych przesłuchiwań — aż do czasu, gdy — jak się spodziewano panna Brzozowska odzyska zupełnie zdrowie i po okropnych przejściach i wrażeniach dni ostatnich, zawładnie do tego stopnia pamięcią, że będzie mogła przypomnieć sobie — drastyczne być może, lecz ważne dla wyniku śledztwa momenty zbrodni.

Tymczasem kuracya była dalej prowadzona i nic, jak powtarzamy — nie zapowiadało groźnych komplikacyj.

W tem nagle gruchnęła wieść po Krakowie, że Brzozowska jest umierająca.

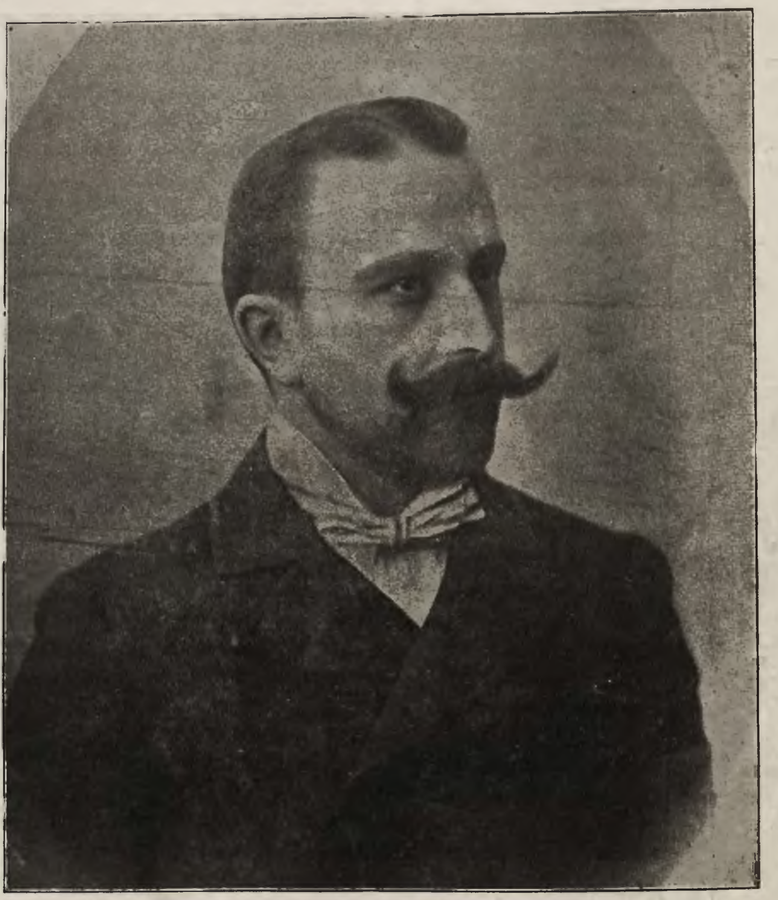
Otóż w ostatnich dniach zaczęła chora gorączkować, a w nocy nawet majaczyć. Równocześnie zauważył lekarz silne puchnięcie lewego ramienia. Nieprzytomną już, przeniesiono na oddział chirurgiczny, gdzie natychmiast dokonano przecięcia zaatakowanego ramienia, celem wypuszczenia ropy. Pomimo operacyi, stan chorej nie poprawił się, a nawet wystąpiły pewne symptomata, uprawniające do obaw, czy nie nastąpiło ogólne zakażenie krwi. Stan pacyentki był coraz groźniejszy i niepokojący. Możliwe zakażenie krwi mogło ewentualnie, zdaniem lekarza — nastąpić przy wstrzykiwaniu przez dra Piotrowskiego ofierze morfiny, nieczystą widocznie strzykawką Pravatza.

Obawy te — niestety! — nie były płonne! Dnia 9 b. m. popołudniu, groźny stan chorej — przeszedł w beznadziejne stadium. Pomimo wypuszczenia ropy z chorego ramienia, gorączka nie ustąpiła — owszem: potęgowała się z każdą chwilą i pacyentka straciła zupełnie przytomność i samopoczucie. Pomimo wszelkich wysiłków lekarzy i zastosowania możliwych przez naukę wskazanych środków, nie udało się uratować młodego życia. O godzinie 6 wieczorem Jadwiga Brzozowska skonała w szpitalu.

Takim jest epilog potwornej zbrodni, popełnionej na niewinnej dziewczynie, przez człowieka inteligentnego, należącego do najlepszych sfer społecznych. Zbrodniarz jest już na Boskim sądzie, uszedł ludzkiej sprawiedliwości, a o umarłych powinno się „nil nisi bene“ myśleć i mówić.

Z tem wszystkiem jednak nie ma dość słów potępienia na zwyrodniałego i zezwierzęconego człowieka, który rozmyślnie, z góry powziętym planem, pozbawił naprzód czci, a potem i życia nieszczęśliwą ofiarę swych namiętności, gotując jej jeszcze przed śmiercią niewypowiedziane fizyczne męczarnie.

Ś. p. Jadwiga Brzozowska, córka poety Karola Brzozowskiego była zawsze wzorową dziewicą i najlepszem dzieckiem dla owdowiałej swej matki. Po śmierci ojca, gdy do domu Brzozowskich zaczął coraz częściej zaglądać niedostatek i bieda — ś. p. Jadwiga zabrała się ochoczo do pracy i lekcyami prywatnemi przyczyniała się dzielnie do opędzania potrzeb licznej rodziny. Fatum jakieś chciało, że u łoża konającego ojca poznała się z przyszłym swym zabójcą, a pociągnięta demonizmem tego człowieka, uległa mu zupełnie, i razem z nim nawet w przedwczesny grób pospieszyła.



Epilog zbrodni w hotelu Kleina: Ś. p. dr. Gustaw Piotrowski, który wykonał zamach na życie J. Brzozowskiej, odbierając sobie równocześnie życie.

Śmierć ojca, którego kochała nad życie, a potem ciężka choroba starej matki, jak i śmierć samobójcza brata — wpłynęły fatalnie na wrażliwy jej umysł i słaby system nerwowy — przygotowując niejako w nieszczęśliwej dziewczynie podatny materyał, medium, którem bezwłasnowolnie została w ręku zbrodniczego człowieka.



Najstarsza świątynia we Lwowie: Kościółek pod wezwaniem św. Jana, leżący u stóp Wysokiego Zamku.



„Wzmocniona ochrona“ w Warszawie: Sołdaci napadają profesora uniwersytetu warszawskiego, by go ograbić.

Najstarsza świątynia we Lwowie.

U stóp Wysokiego Zamku we Lwowie, otoczony niby pokoleniem wnuków i prawnuków, wznosi się starożytny, pamiętający średnie wieki kościółek pod wezwaniem św. Jana. Dawniej okolica ta pokryta była gęstym lasem — z czasem lasy wytrzebiono, a na ich miejscu osiadły drewniane domki lwowskich mieszczan. I kościółek św. Jana był pierwotnie drewniany. W czasie inwazyi Szwedów, skromna ta świątynia uległa zniszczeniu. Po ustąpieniu nawału wrogów, odbudowany został staraniem OO. Dominikanów. Ostatniej restauracyi kościoła dokonano już w XIX stuleciu. Wnętrze świątyni skromne, ubogie prawie. Przed ołtarzem głównym znajduje się obraz św. Jana, obok zaś obraz św. Wojciecha, piękne i cenne malowidło pochodzące z daru ks. Chęcińskiego, znanego we Lwowie kaznodziei. Obok stoi figura Boga Rodzicy.

Nabożeństwa w starożytnym, a zapomnianym dziś kościółku odbywają się tylko 2 razy do roku. W dzień św. Wojciecha dnia 23 kwietnia i św. Jana dn. 24 czerwca.

Turystom i lubownikom sztuki można śmiało polecić zwiedzenie tego świętego ustronia, a trudu ani wrażeń z pewnością żałować nie będą.

„Wzmocniona Ochrona“ w Warszawie.

We wszystkich miastach Królestwa polskiego, w których spodziewano się wybuchu strejku robotniczego, ogłoszono stan „wzmocnionej ochrony“. Jest to rodzaj naszego galicyjskiego stanu wyjątkowego.

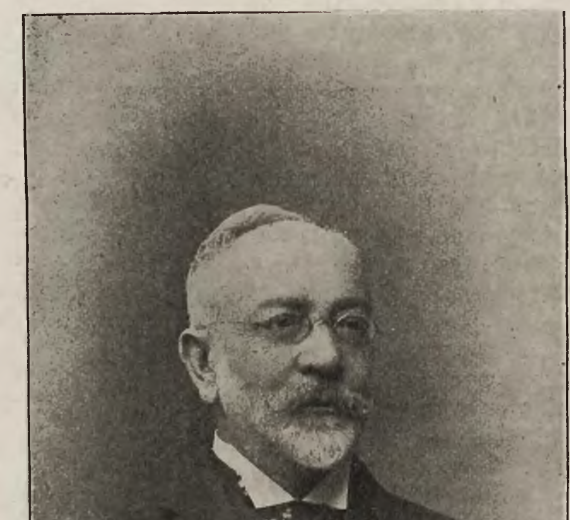
W rzeczywistości w Królestwie zawsze był stan wzmocnionej ochrony! Ogłoszenie więc teraźniejsze o zaprowadzeniu praw wyjątkowych, w Warszawie, Łodzi i innych miastach Królestwa, nie jest niczem nowem. Wszelkich praw byliśmy pod zaborem rosyjskim pozbawieni zawsze i zbytecznem było pozorować gwałty żołdactwa stanem „wzmocnionej ochrony“! Tak jak teraz, tak i dawniej znosiliśmy na swoich barkach tysiączne krzywdy zaborców, dla których każda sposobność była równie dobrą do przelania naszej krwi i obrabowania nas z wszelkiego mienia!

Wobec ruchu robotniczego, który przybrał tak olbrzymie i potężne rozmiary, rząd carski był początkowo bezsilnym. Tam, gdzie nie rozporządzano znaczną ilością wojska, patrzano trwożnie na wzmagający się i ogarniający coraz szersze warstwy ruch strejkowy!

Ale w miastach gdzie wojsko stało w liczbie większej, gdzie mogli siłę zbrojną przeciwstawić buntującym się masom, tam zbrojnie tłumiono wszelki ruch i tam krew lała się obficie. Strzelano nie tylko do większych gromad, zbierających się w celu zamanifestowania i zademonstrowania przeciw rządowi, ale nie przepuszczano nikomu, kto pokazał się na ulicy. Spokojnych przechodniów napadano i strzelano do każdego, kto nie pozwalał się okradać żołdactwu. Najlepszym dowodem tych gwałtów jest napad na konsulów angielskich w Warszawie, zabicie studenta Dzierzbickiego i wielu innych, o których dzienniki piszą co dzień.

Wojsko mając prawo rewidowania każdego przechodnia w czasie „wzmocnionej ochrony“, nie zaniedbywało tej okazyi do obłowienia się porządnego i do obładowania się mieniem przechodniów.

Oto rycina, naszkicowana przez naocznego świadka, przedstawia brutalny napad żołdaków na profesora uniwersytetu, Rosyanina, którego chciano ograbić. Żandarmi rozbestwieni strzelają za uciekającymi ludźmi i na spółkę z pospolitymi rabusiami okradają sklepy. I oto skutki „wzmocnionej ochrony“: rozlew krwi i rozbój! Do takich czynów zdolne jest tylko żołdactwo i policya w Rosyi! Wzmocniona ochrona dostarczyła tylko nowych sposobności do znęcania się żołdactwa rosyjskiego nad mieszkańcami naszych miast, których bruki spłynęły w tych dniach krwią naszych braci.



Nowy prezydent lwowskiej Izby handl.-przemysł.: Samuel Horowitz, nowy prezydent Izby handlowo-przemysłowej we Lwowie.



Fot. Mien. Kraków.
25-letni jubileusz artysty-rzeźbiarza: Tadeusz Błotnicki.

Nowy prezydent lwowskiej Izby handl.-przemysłowej.

Na ostatniem posiedzeniu lwowskiej Izby handlowo-przemysłowej obrano jednogłośnie prezydentem pana Samuela Horowitza, znanego przemysłowca, bankiera i właściciela dóbr ziemskich we Lwowie. Nowowybrany prezydent niejednokrotnie odznaczał się w życiu publicznem. Przez lat 15 piastował godność prezesa izraelickiej Rady wyznaniowej we Lwowie i na tem stanowisku odznaczony został przez cesarza w r. 1890 krzyżem kawalerskim orderu Franciszka Józefa, w roku zaś 1894 otrzymał dziedziczne szlachectwo.

Przez długie lata był on członkiem rady nadzorczej banku hipotecznego, i od roku 1903 jest prezesem rady nadzorczej akcyjnego Towarzystwa rafineryi spirytusu.

Szczodrobliwością i dobrocią serca zaskarbił sobie nowy prezydent we Lwowie powszechny szacunek i poważanie.

25-letni jubileusz artysty-rzeźbiarza.

Sztuki plastyczne — są w dziale rzeźby cokolwiek upośledzone — w porównaniu z malarstwem. Podczas gdy bowiem malarstwo ma bardzo wielu mniej lub więcej wybitnych przedstawicieli — rzeźbiarstwo jest dość skąpo reprezentowane, a nazwiska dzielniejszych współczesnych sił na tem polu, dadzą się z pamięci nawet wyliczyć. Gdy wymienimy zatem nieżyjącego dziś Gujskiego, z żyjących Rygiera, Godebskiego, Popiela, z młodszych zaś, Laszczkę, Dunikowskiego i Biegasa — to zdaje się wyczerpaliśmy prawie wszystkie nazwiska współczesnych mistrzów dłuta.

Błotnicki jest artystą niepospolitej miary. Wysoka kultura umysłowa, wszechstronne wykształcenie, prawdziwe poczucie poezyi przechodzącej niejednokrotnie w gienialne natchnienie — wszystko to przy świetnej znajomości specyalnych zawodowych studjów i umiejętności technicznej, są to cechy i zalety składające się na interesującą indywidualność artysty, której piętno w każdem swem dziele utrwala. Błotnicki to poeta dłuta, tem więcej podziwu i uznania godzien, że rzeźbiarzowi jest może najtrudniej ze wszystkich artystów wznieść się na wyżyny prawdziwej sztuki i poezyi. Nie ma on do rozporządzenia tęczowych barw, nie posługuje się efektami światła i cieni, jak malarz. Jest tylko zdolen myśli swoje i duszę tłómaczyć — że się tak wyrazimy realnymi namacalnymi środkami — jemu przypadło najtrudniejsze i najniewdzięczniejsze zadanie: tchnięcie w bryłę kamienia duszy, ożywienia martwego głazu własną twórczością i talentem. Środki techniczne jego sztuki są najniewdzięczniejsze — najoporniejsze, ale też po ich opanowaniu i tryumf tem większy i zupełniejszy. Takim genialnym mistrzem dłuta, natchnionym poetą, na którego zaklęcie głaz zdaje się ożywiać i przemawiać do nas — jest nasz jubilat: Tadeusz Błotnicki.

Na potwierdzenie naszych słów — wystarczy przejść się uważnie po salonach Muzeum przemysłowego we Lwowie, które otworzyło gościnne swe podwoje na pomieszczenie zbiorowych prac wielkiego artysty święcącego srebrne gody z ukochaną swoją sztuką.

Uderza tu i przykuwa oczy nasze kompozycya zatytułowana „Walka“. Widzimy tu uskrzydolną postać geniusza, rwącego się w nadziemskie sfery. Niestety! tajemnicza jakaś siła przykuwa go do ziemi. Druga grupa „Tryumfator“ — przedstawia szatana depczącego glob ziemski — a z demonicznego wyrazu twarzy daje się wyczytać dewiza: „Ja chcę być panem świata!“ Trzecia i ostatnia część trylogii, a zarazem i najwspanialsza — to „Rezygnacya“. Z całą ekspresyą potężnego swego talentu przedstawił Błotnicki w tej rzeźbie—przygnębienie, ciche zwątpienie i poddanie się brutalnej przemocy.



Fot. E. Brodkowski. Lwów.
25-letni jubileusz artysty-rzeźbiarza: Wystawa dzieł jubilata w Muzeum przemysłowem we Lwowie (strona prawa).

Poza dziełami składającemi jubileuszową wystawę prac artysty — obdarzył Błotnicki społeczeństwo całym szeregiem cennych utworów. Na wyszczególnienie zasługują w pierwszym rzędzie: „Świtezianka“ — rzeźba zdobiąca studnię przy placu Halickim we Lwowie, pomnik Mickiewicza w Tarnowie, pomnik Kościuszki w Jaśle, statua Bogarodzicy w katedrze poznańskiej, i posąg papieża Piusa IX znajdujący się w kościele św. Jura we Lwowie.

Z pomniejszych, a nie mniej cennych prac jubilata wymieniamy rzeźby: Głowa Chrystusa, projekt pomnika Grotgera i grobowiec żony artysty ś. p. Waleryi z Soleckich.

Jak widzimy dorobek 25 ciu lat piękny i nie mały!..

* * *

A teraz kilka dat z życia artysty. Tadeusz Błotnicki urodził się w r. 1858 we Lwowie i tu skończył szkołę realną. Po dwuletnich studyach w Akademii Sztuk pięknych w Krakowie udaje się do Wiednia, a stamtąd już jako stypendysta — za granicę. Bawił w Rzymie, Florencyi, Medyolanie i Paryżu. Przywiązanie do kraju powróciło go znowu społeczeństwu. Osiedlił się między swoimi pod Krakowem, we wsi Dębnikach, gdzie posiada pracownię, własny dom i gospodarstwo wiejskie. Artysta dumnym jest z tego i sam się chętnie nazywa „kmieciem z Dębnik.“



Fot. E. Brodkowski. Lwów.
25-letni jubileusz artysły-rzeźbiarza: Wystawa dzieł jubilata w Muzeum przemysłowem we Lwowie (strona lewa).

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

21 (Ciąg dalszy).

W kilka dni potem czytał Freudenberg przy obiedzie list, przyniesiony z poczty.

„Drogi mój kochany stryju!

Dostawszy się za twoją łaską do Ameryki, zabrałem się do pracy. Tu poznałem dopiero, jak lekkomyślnie żyłem, jak słusznie na twój gniew zasługiwałem. Trafiłem na zacnego rodaka, pana Knora, bogatego kapitalistę, który się opiekował mną po bratersku i pomógł do tego, że pracą dobiłem się małego kapitaliku. Stęskniony za ojczyzną, pragnąc uściskać cię drogi Stryju, który mi ojca zastępowałeś i chcąc stryjence okazać, że zdołam zasłużyć na jej względy, wróciłem do Europy z panem Knorem, który chce kupić jakiś duży majątek ziemski. Jeżeli raczysz pozwolić drogi stryju, to przybędę do stryjostwa na kilka dni z panem Knorem, aby się rozpatrzył w okolicy, gdzie może znajdzie jaki majątek, aby go kupić. Oczekuję łaskawej odpowiedzi.

Wdzięczny i kochający
Edward.

— No, no! dziwne — rzekła Freudenbergowa.

— A co? ja nie traciłem nadziei, że się chłopiec ustatkuje — mówił Freudenberg.

— Cóż uczynisz?

— Ha, jak myślisz?

— Niechby tu nie przyjeżdżał z tym swoim panem kapitalistą. Jeżeli już koniecznie chcesz go zobaczyć, jeżeli masz przekonanie, że się ustatkował, to mu napisz, aby sam przyjechał na kilka dni. Ale jakiś obcy człowiek! Nie wiemy co za jeden.

— Ale to będzie dla nas rozrywka z takim Amerykaninem. Nasłuchamy się ciekawych rzeczy. Ej, co tam — niech przyjadą obaj. Co? no? proszę cię.

— Czyń, jak ci się podoba, ale żebyś nie żałował tego.

— Ale cóż znowu? dlaczego? ej, ej — nie trzeba źle o ludziach sądzić.

— Ale, ale. Mój drogi. Umieszczę ogłoszenie w dziennikach, że nam potrzeba jakiej dobrej osoby do zajęcia się Fryckiem. Niańka mu już nie wystarcza. Dziecina zaczyna się bawić. Chciałabym przyjąć jakąś opiekunkę do niego, coby mu poniekąd matkowała.

— A słusznie, słusznie. Możemy zaraz posłać na pocztę.

Bal maskowy.

Klara w całej pełni używała szczęścia, znowu czuła się panią, a tem większą, że jej szeptały demoniczne ambicye, iż może zasiąść na tronie. Klara była już teraz zupełnie spokojną, bo jedyny oskarżyciel Ludwik pozyskany, bo odwołał wszystko i już nigdy nie będzie mógł jej zdradzić.

Mijały tygodnie za tygodniami: Klarze w rozkoszach, księciu w szale. Daremnie Judyta knuła plany z marszałkiem, jakby znienawidzoną kobietę oderwać od księcia. Zacisze leśne miało straż liczną i zaufaną, więc nie można było myśleć nawet o tem, aby urządzić napad i przemocą Klarę porwać. Księstwo oboje nie chcieli już nowego rozgłosu nadawać tej sprawie, zadawalniając się tem, że opinia publiczna zaczęła już bądź oswajać się z wybrykiem księcia, bądź też i zapominać o nim. Najbardziej cierpiała na tem matka księżniczki Elzy, bo odraczało się małżeństwo jej córki z księciem, a księżniczka Elza nabierała coraz więcej niechęci do księcia Ferdynanda.

Książe Ferdynand bywał prawie codziennym gościem w zaciszu leśnem i tak przywykł do tego życia, że nawet myśleć o tem nie chciał, aby się to kiedykolwiek zmienić mogło, lub zmienić musiało. I teraz już nawet utrwalał się w tej myśli, że gdy zasiędzie na tronie, nada Klarze wszelkie prawa książęce. Z tą myślą nie tail się przed Klarą.

— Wszelkie cierpienia, których doznałaś, zamienią się dla ciebie kiedyś w najwyższy tryumf — mówił Ferdynand.

— Dziwne to prawo w waszej dynastyi, że dozwala panującemu księciu takiej swobody w zawieraniu małżeństwa, a niedozwala jej następcy tronu — rzekła Klara.

— Tego rodzaju przepisy, czy zwyczaje, istnieją w kilku innych dynastyach, ale na co nam rozpatrywać się w tem wszystkiem, skoro wiemy, że nas nic nie rozłączy, że kiedyś na tronie zasiędziesz.

— Ale tymczasem muszę wciąż truchleć o każdą chwilę szczęścia, o każdą godzinę życia. A ileż to upokorzeń już wycierpiałam! Nawet i teraz jeszcze doznawać muszę upokorzenia, choćby przed samą sobą, że ja, twoja żona, przyszła pani tego kraju, muszę ukrywać się tutaj, że mi nie wolno pokazać się światu przy twoim boku. Młoda jestem, więc nie dziw, że ta samotność męczy mnie, że zdaje mi się, jakbym na zdziczenie była skazana.

— Wierzaj mi moja ty najdroższa, że niedługo i to się zmieni. Rodzice widząc moją wytrwałość, poznawszy potęgę naszej miłości, przestaną nastawać na to, abyśmy się rozłączyli. Postaram się o usunięcie Wurma od dworu, odsłonię przed matką całą niegodziwość Judyty, a gdy zabraknie tych dwojga intrygantów na książęcym dworze, wówczas ukończy się twoje osamotnienie.

— Jabym tak rada bodaj raz przecie przypatrzeć się z bliska dworowi. Teraz byłaby do tego doskonała sposobność. Przebrałabym się na ten bal maskowy. który ma być za dwa tygodnie, w taki kostium i w taką maskę, żeby się nikt nie domyślił, żeby mnie nikt nie poznał.

— To niemożebne Klaro! Możesz się zdradzić czemkolwiek, mogą cię poznać po ruchach, a zresztą nie wpuszcza się na salę balową żadnej maski, która nie złożyła u wstępu zapraszającego biletu. Te bilety są jedynie i wyłącznie pod zarządem marszałka, więc gdybym takiego biletu zażądał, marszałek zarazby się domyślił i otoczonoby cię takimi szpiegami, żeby cię najniezawodniej poznano.

Wtedy Judyta i marszałek nie cofnęliby się przed żadnym skandalem. Zresztą nie wielka to przyjemność, bo w maskach przybywa się wprawdzie na salę, ale nie na długo. Krążenie w maskach po sali i cała maskowa mistyfikacya, trwają zaledwie godzinę, a potem gdy już tańce mają się zacząć, wszyscy maski odrzucają.

— A jednak chciałabym nawet tylko na tę jedną godzinę zjawić się tam, wśród tego dworskiego tłumu, rozerwać się, rozweselić.

I przemawiała tak tkliwie, tak pieszczotliwie, zarzuciła mu śnieżne ramiona na szyję z taką miłością, a patrzyła mu w oczy tak słodko, że książę wreszcie uległ i przyrzekł jej bilet, oczywiście na jakieś inne nazwisko.

* * *

Na dwa dni przed balem przymierzała Klara wspaniały kostium, który dopiero co przysłano jej z Paryża. Tak była ostrożną, że nawet Rózi nie wezwała do pomocy, że nawet Rózia nie miała widzieć tego kostiumu. Był to wykwintny kostyum z osiemnastego wieku, w którym mogła była uwydatnić całą swoją piękność i cały urok swojego ciała. Kostyum lśnił przepychem i bogactwem, odznaczał się nieposplitą elegancyą.

Widać, że Klara była bardzo zadowolona, bo uśmiechała się do zwierciadła, przybierała rozmaitą postawę, układała ruchy, a w każdej pozie kostyum znakomicie ją zdobił.

Zdjęła kostyum z siebie, zamknęła go starannie, poczem usiadła, jakby ciężka myśl ją przygniotła. Spoglądała przed siebie, nie zatrzymując wzroku na niczem. Myśli unosiły ją gdzieś daleko od dni dzisiejszych, a nie były snać jasne i pogodne, bo czoło jej się chmurzy, twarz szpetnie skrzywia, oko mąci się, drga niepokojem. To znowu ścinają się usta, kurcze wewnętrznej walki na twarz się dobyły, energia płynie ze wszystkich głębin ducha, Tak zwykły się rodzić wszelakie zbrodnie.

Klara nie może czekać. Jej pilno zasiąść na tronie. Niedołęga ten Sterneg, że księcia tylko zranił. Czemu go nie zabił? Byłaby dziś monarchinią! Dziś ten książę staje na zawadzie. Zawady usuwać należy. Tak! To rzecz zupełnie zwykła. Panował tyle lat niech ustąpi.

Książę Ferdynand zapowiedział, że przez trzy dni przed balem musiał pozostać w stolicy, więc Klara miała swobodę myśleć, walczyć ze sobą, knuć plany, sposobić się do zbrodni. Aż nadszedł dzień balu. Już miała się ubierać, gdy na spienionym koniu przybył posłaniec od księcia i wręczył jej list.

„Zostań w domu, — pisał książę — zaklinam cię na miłość naszą i na twoje własne szczęście. Domyślono się. Gdyby cię poznano, byłabyś bardzo upokorzoną. Natychmiast po balu przybędę do ciebie“.

Klara odpisała na liście: „Bądź spokojny“. — Potem dobyła bombonierkę z cukierkami, które jej książe zwykle przywoził, rozwinęła dwa najdrobniejsze papierki, wyjęła z nich czekoladki, zanurza w jakimś proszku i zawinęła ponownie. Garść cukierków wsypała do zgrabniutkiego koszyczka, sprowadzonego wraz z kostyumem i maską z Paryża, a między cukierki włożyła owe czekoladki, odmienne kształtem od innych. Na wszystkich cukierkach były papierki ze znakiem nadwornej cukierni.

Ubrała się sama, a dopiero gdy już zupełnie była gotowa, kazała założyć konie i zbierać się Rózi. Wyszła okryta płaszczem tak, że Rózia nie tylko nie widziała kostyumu, ale go się nawet nie domyślała — a dowiedziała się o wszystkiem dopiero wtedy, gdy już przyjechano do stolicy i powóz zatrzymał się przed książęcym zamkiem.

Już po drodze rozkazała, aby stangret natychmiast odjechał, skoro ona tylko wysiądzie i czekał na nią w oddaleniu od zamku.

Zdawało się Klarze, że nikt jej nie pozna, że nikt się nie domyśli i nikt jej zdradzić nie zdoła, skoro zachowała wszelkie ostrożności. Wyskoczywszy z powozu, zdążała śmiało naprzód i zamięszała się w tłumie innych masek.

Na sali balowej było rojno, a nawet cokolwiek tłoczno, więc Klara nabierała odwagi i spokoju, skoro na nią w tym tłumie nie zwracano z początku uwagi. Panujący książę i księżna zasiedli na podwyższeniu i przypatrywali się maskaradzie. Na znak dany przez marszałka, maski ustawiać się zaczęły szeregami, poczem urządziły korowód przed księstwem, idąc sznurem jedna za drugą. Prócz hołdów i ukłonów, składano księstwu cukry i kwiaty. Niekiedy książę lub księżna zatrzymali jakąś maskę, pomówili z nią słów kilka i podawano sobie kwiaty i słodycze, sami brali z rąk masek.

W tej defiladzie zwróciła Klara na siebie uwagę powszechną wspaniałością kostyumu i wyniosłą postawą. Oboje księstwo przypatrywali jej się z wielkiem zaciekawieniem, czyniąc najrozmaitsze domysły, która to z księżniczek być może, bo nietylko księstwo, ale i wszyscy uczestnicy balu byli przekonani, że tylko któraś z księżniczek tak strojnie ubrać się mogła i tyle rozwinąć królewskiej dystynkcyi.

Zbliżywszy się Klara do księstwa, złożyła zwykły ceremonialny ukłon i podając koszyczek z cukierkami, wyjęła dwa największe cukierki i złożyła je do rąk księcia.

Skończył się pochód masek, znowu pomięszały się z sobą, tworząc malownicze grupy, zaciekawiając się wzajemnie. Klara trzymała się cokolwiek na uboczu, czem jeszcze bardziej utrwalała powszechne mniemanie, że pod jej maską kryje się jedna z księżniczek. Tylko jakiś średniowieczny rycerz zbliżył się do niej i szepnął:

— Pocoś to uczyniła? Uchodź czemprędzej. Za chwilę nastąpi zdejmowanie masek. Będziesz skompromitowaną. Chodź ze mną, ja cię wyprowadzę.

— Więc poznałeś mnie?

— Czyż mogła wątpić? Nietyle oczy, ile serce moje cię poznało.

Rycerz chciał jej podać rękę i wyprowadzić, gdy niespodzianie zjawiło się okazałe domino damskie i zaczęło z rycerzem rozmowę:

— Co za wspaniałe zjednoczenie tak odległych wieków. Rycerz średniowieczny i dama czasów najswawolniejszych.

To rzekłszy domino przypatrywało się ciekawie nie tyle rycerzowi, ile jego towarzyszce i widocznie starało się tę parę zatrzymać, zastępując jej drogę natrętnie. Niecierpliwiło to rycerza tak bardzo, że chciał domino usunąć z drogi, gdy nagle zabrzmiała muzyka kilkoma taktami walca na znak, że tańce się rozpoczną i że maski zdejmować należy. Domino odsłoniło twarz. Była to hrabianka Judyta Landesberg.

Klara zadrżała, średniowieczny rycerz usunął się prędko z nią, chcąc ją wyprowadzić, ale w tej chwili wyrósł jakby z pod ziemi marszałek dworu i kłaniając się uprzejmie, zażądał od stojącej pary, aby natychmiast zechciała zdjąć maski. Na to średniowieczny rycerz wyniosłem skinieniem ręki kazał się Wurmowi oddalić i wymijając zręcznie Judytę, chciał wyjść z zamaskowaną damą ze sali. Ale maski zwróciły już powszechną uwagę i liczna gromada osób zbliżyła się w tę stronę, zdjęta ciekawością, kto też tak uporczywie nie chce się poddać ceremoniałowi dworskiemu.

Już rycerz dosięgał progu sali, gdy hrabianka Landesberg przyskoczyła do zamaskowanej damy i szybkim ruchem zdarła z niej maskę. Marszałek ujął Klarę za rękę i rzekł:

— Na mocy przysługującego mi prawa, muszę panią oddać pod straż zamkową.

Judyta zaśmiała się szyderczo i powiedziała głośno:

— To słynna pani Sterneg.

Nastało ogromne zamięszanie. W mgnieniu oka rozeszła się po całej sali wiadomość o zdemasko-

waniu Klary. Oburzenie było ogromne, a nawet kilka osób natychmiast wyszło, uważając za ubliżenie dla siebie pozostać na balu, na którym taka kobieta zjawić się mogła.

Zaczął się tworzyć ścisk w pobliżu Klary, przybyła też służba na skinienie Wurma i już miała wyprowadzić Klarę, gdy nagle rycerz średniowieczny zerwał sobie maskę z twarzy, rzucił ją na posadzkę, a odepchnąwszy Wurma, podał Klarze rękę, rozkazując wszystkim się rozstąpić i wyszedł z nią ze sali. Był to książę Ferdynand.

Książę uprowadził Klarę bocznymi korytarzami.

— Widzisz na co siebie i mnie naraziłaś — rzekł do Klary z goryczą. Teraz wypadnie nam może na jakiś czas się rozłączyć. Będziesz się musiała ukrywać, aby cię nie dosięgły dokuczliwości. Ile ja na tem ucierpię! w tej chwili niema czasu wszystkiego ci wyjaśniać. Nawet lękam się puścić cię samą do domu.

Klara uniewinniała się jak mogła, ale bardzo tym razem niezgrabnie. Weszli do jakiejś ustronnej sali, w której nie było nikogo; książę zadzwonił, a gdy się zjawił służący, posłał go po Łukasza. Łukaszowi rozkazał dobrać czterech zaufanych ludzi, dosiąść koni i towarzyszyć Klarze do domu.

* * *

Może po raz pierwszy w życiu upadła Klara na duchu tak bardzo, że się istotnie trwożyć o siebie zaczęła. Wróciwszy do domu była taka znękana, że nie pomogły jej żadne wysilenia energii i woli, aby się otrząść z przygnębienia. Trapiły ją przeczucia złowrogie. Gdy po obiedzie podano jej cukry, na ich widok wydała okrzyk przerażenia. Rózia niepokoiła się bardzo, tembardziej, że upłynęły trzy dni od balu, a książę się nie pokazywał.

* * *

Tymczasem na książęcym dworze działy się rzeczy niesłychane. Księstwo tak się oburzyli postępowaniem syna, że była chwila, w której książę następstwa tronu pozbawić go zamierzał. Nietylko księżniczka Elza, ale już nawet i jej matka objawiała głęboką urazę do księcia Ferdynanda i zapowiedziała zerwanie zaręczyn. Całe wyższe towarzystwo w stolicy czuło się tem obrażone, że następca tronu, taką osobę jak Klara, na bal wprowadził i że ją oficyalnie uznał za godną tego towarzystwa przez podanie jej ręki.

Wszystko to wywierało na księcia Ferdynanda tak wstrząsające wrażenia, że pod ich naciskiem popadł w chorobliwy nastrój nerwowy.

Nikt nie zwracał uwagi na owe cukierki, które Klara księstwu ofiarowała, a nawet zapomniano o nich, aż jakoś trzeciego, czy czwartego dnia po balu, zachorowało dziecko jednego z lokai dworskich, a lekarze uznali, że dziecko się zatruło. Badania wykryły, że ów lokaj zabrał część cukrów ofiarowanych księstwu na balu. Wśród nich znaleziono zatrutą czekoladkę, taką samą jak owa, którą dziecko zjadło. Wurm odrazu powziął podejrzenie, że owe cukierki pochodziły od Klary, że nimi księcia otruć zamierzała.

Roztrząsano tę sprawę u dworu bardzo poważnie i wreszcie uznano, że nikt inny nie mógł być sprawcą zamachu. Wydano rozkaz uwięzienia Klary.

* * *

Smutno było teraz w zaciszu leśnem. Klara dowiedziała się przez Rózię od Łukasza, że książę zachorował, więc niepewna już była o siebie, o swoją przyszłość. Lękała się, aby nie odkryto owych zatrutych cukierków. Wyrzucała sobie ów niedorzeczny pomysł udawania się na bal, wbrew radom księcia. Były chwile, iż chciała pozabierać wszelkie kosztowności i uciec. Zmieniła się przez kilka dni tak, że była niepodobną do siebie. Noce spędzała bezsennie, bo spać jej nie dały rozmaite widma. To jej synek maleńki powtarzał, iż książę wypędził z zamku księżniczkę, to baletnica Elwira ściągała ją ku sobie w przepaść pod scenę, to mąż jej Sterneg przytłaczał ją wzrokiem pełnym pogardy, to wstrętny Ludwik ślinił ją lubieżnie, to znowu krążył koło niej korowód dawnych kochanków z Bochenauem na czele, a każdy z nich urągał jej pogardliwie. To wreszcie książę Ferdynand smagać ją kazał biczem i wypędzić w łachmanach za bramy zamku.

Pewnego dnia po obiedzie, którego prawie nie tknęła, wpadła Rózia przerażona i zawołała:

— Cały dom otoczony, Wurm przybył z żandarmami.

Zerwała się Klara, domyśliła się, że przybywają po nią, pędzi do okna, by przez nie wyskoczyć, ale zobaczyła tam żandarmów, więc krętymi korytarzykami chce się dostać do furtki, wiodącej do lasu, który w tem miejscu do domu przytykał. Już drzwi od furtki otworzyła, już miała skoczyć w las, gdy Wurm zastąpił jej drogę, a tuż za Wurmem zjawił się żandarm.

— Chciałaś mnie moja pani pozbawić przyjemności złożenia ci wizyty. Bądźże pani gościnniejszą i zechciej przyjąć mnie w swoim buduarze, w którym spodziewam się znaleść bardzo interesujące przybory toaletowe.

W Klarze odżyła dawna zuchwałość i zdobywszy się na ton rozkazujący, rzekła wyniośle:

— Pan się zapominasz, mości marszałku; nie zważasz na to, na co się narażasz. Napad na mój dom jest taką bezczelnością, że będę zniewolona wymagać od mojego męża, księcia następcy tronu, aby pana za to jak najsurowiej ukarał.

— Pomówimy o tem bardzo dokładnie, gdy już znajdziemy się w buduarze pani. Ponownie proszę byś nas tam pani dobrowolnie zaprowadziła, abym nie był zniewolony zmusić pani do tego.

Klara wróciła do mieszkania. Tu już komisya policyjna dokonywała rewizyi, przyczem ze szczególną skwapliwością pozabierano różne flakoniki, słoiki i pudełka.

— Mam rozkaz uwięzić panią — rzekł Wurm.

— Mnie?! uwięzić?! prawowitą żonę następcy tronu?!

— Tak moja pani, panią.

— Z jakiego powodu?

— Kogo Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera. Byłaś pani tak naiwną, iż sądziłaś, że książe natychmiast zje cukierek, który mu podasz. Nie wiedziałaś, że ceremoniał dworski pozwala przyjmować takie podarki balowe, ale nie dopuszcza zjadać ich na sali balowej. To też książe nie zjadł i nie otruł się na szczęście, ale otruło się dziecko jednego z lokai. W bezczelnej dumie uroiłaś sobie mościa pani, że zasiądziesz na tronie po śmierci naszego monarchy. Zachciało ci się tę chwilkę przyspieszyć i użyłaś w oślepieniu takiego środka, który cię moja pani wyniesie nie na tron, ale na... szubienicę.

— Milcz pan — krzyknęła Klara. To wszystko kłamstwo, to wszystko pańska intryga i pańskiej wspólniczki, hrabianki Landesberg. Odpowiecie za to przed moim małżonkiem.

— Nie sądźże pani, że zawsze można tak szczęśliwie wybrnąć, jak wówczas, gdy jakiś urwisz osłonił panią swoją bezczelnością. Ale ten urwisz będzie wkrótce inaczej mówił i zapewne poczyni bardzo ciakawe wyjaśnienia. Te cukierki nazywasz pani intrygą, taką samą zapewne, jak historye teatralne, jak romansiki z hrabią Buchenauem, no i jeszcze, jeszcze... ale dajmy temu spokój. Analiza chemiczna zabranych tutaj przyborów toaletowych przekona panią, że jesteś trucicielką. Teraz proszę się zbierać, za kwadrans wyjeżdżamy.

Klarę ogarnęła rozpacz. Uznała, że wszystko stracone. Popadła w taką wściekłość na Wurma, że nie zdając sobie z tego sprawy, co czyni, przyskoczyła do niego z zaciśniętemi pięściami. Oczy jej się iskrzyły, zacisnęły zęby, popadła w jakiś szał wściekłości. Wurm odepchnął ją od siebie z pogardą i nienawiścią.

— Precz trucicielko! — zawołał - prędzej do więzienia, a potem na szubienicę.

— Ha! ty pierwszy zginiesz nędzniku! — zawołała Klara i wbiła Wurmowi sztylet w piersi.

Marszałek padł z jękiem i za chwilę już nie żył. Klarę odwieźli żandarmi do więzienia, a zwłoki marszałka przewieziono do stolicy.



...hrabianka Landesberg przyskoczyła do zamaskowanej damy...

Wyleczony.

Gertruda ukryła Waltera na zamku swojego ojca, wyrwawszy go szczęśliwie z rąk prześladowców, dzięki poświęceniu Krystyna. Otoczony jak największą troskliwością, pod opieką zdolnego i sumiennego lekarza, odzyskiwał Walter przytomność i zdrowie tak prędko, że bywały chwile, w których zdawał sobie najdokładniej sprawę ze wszystkiego, co go otacza.

Aby się ustrzedz od jakiegoś zamachu ze strony marszałka, otoczono zamek strażą gęstą, zaufaną. Ale Waltera przemocą porywać nie chciano, aby uniknąć skandalu, którego dwór się obawiał. Tak upłynęły szczęśliwie miesiące, aż pewnego razu przybył Krystyn, uciekłszy ze Sternegiem z domu obłąkanych.

Radość była wielka, nietylko z tego względu, że się Krystyn wydobył na swobodę, ale i dla tego, że przybył w nim znakomity pomocnik lekarski. Walter go poznał, niezmiernie się nim uradował, a towarzystwo Krystyna stało się istotnie najskuteczniejszem dla Waltera lekarstwem.

Wyzdrowienie tak prędko następowało, że można już było najlepsze rokować nadzieje i dlatego Gertruda napisała do księżniczki, że Walter zupełnie ocalony.

Księżniczka Elza tak się zniechęciła do księcia Ferdynanda, tak się czuła dotkniętą i obrażoną jego stosunkami z Klarą, że stanowczo oświadczyła matce, iż raczej samobójstwa się dopuści, niż da się zniewolić do zamążpójścia. Księżna przestała wreszcie córkę nakłaniać, zaniechała daremnej obrony Ferdynanda w mniemaniu, że czas wszystko ułagodzi, że wszystko się zmieni po jej myśli. Tylko Gertrudzie nie wybaczyła księżna udziału w wycieczce do zakładu Katzenbergera i usunęła ją ze swojego dworu. Księżniczka nie mogła obejść się bez jedynej powiernicy i przyjaciółki, więc albo listownie się z nią porozumiewała, albo też tajemnie z nią schodziła. Te schadzki ułatwiała Judyta u siebie. Księżna miała w niej zupełne zaufanie, więc nie budziło to żadnych podejrzeń, gdy księżniczka Elza hrabiankę częstwo odwiedzała. Hrabianka zaś czyniła to z wyrachowania. Jej celem było pozbyć się rywalek. Teraz zwłaszcza, gdy Klarę uwięziono, wysilała się, aby i księżniczki się pozbyć. Wiedziała wprawdzie, że Elza za Ferdynanda wyjść nie zechce, że się będzie całą siłą opierała życzeniu matki, ale mogłaby uledz wreszcie, zmienić się, dać się nakłonić, więc trzeba było usunąć wszelkie wątpliwości. C. d. n.

Dwudziestolecie Sokoła Stanisławowskiego.

W jednym z numerów styczniowych podaliśmy wizerunki zasłużonych członków zarządu lwowskiego „Sokoła“, z okazyi dwudziestoletniej rocznicy wzniesienia własnego gmachu. Dzisiaj podajemy wizerunki gniazda stanisławowskiego, jednego z największych w kraju naszym, oraz jego przywódców, a to z okazyi ukończonego właśnie jego dwudziestolecia.

Impuls do założenia gniazda stanisławowskiego dał ś. p. Franciszek Miazga, profesor szkoły realnej, w roku 1883, w marcu zaś roku 1884 wybrano pierwszy wydział, w skład którego weszli Dr. Zygmunt Mroczkowski jako prezes, Tadeusz Artychowski jak zastępca, Jaegerman Józef, Łazarski Mieczysław, Miazga Franciszek, Stepek Michał i Wysocki Antoni.

Od tej chwili datuje się, nadzwyczajny, można powiedzieć, wzrost „Sokoła“ stanisławowskiego. Świetny egzamin sprawności złożył on w roku 1897 na urządzonym w Stanisławowie pierwszym zlocie okręgowym, oraz na zlotach w Kołomyi w roku 1899, w Śniatynie roku 1902 i we Lwowie r. 1903, na który dostarczył 120 wybornie wyćwiczonych gimnastyków

„Sokół“ stanisławowski ma wiele do zawdzięczenia dzielnemu naczelnikowi swemu Włodzimierzowi Świątkiewiczowi, od początku założenia tego gniazda nieprzerwanie w niem czynnemu. Dzisiaj liczy „Sokół“ stanisławowski 520 członków, jest siedzibą okręgu, do którego należy 21 gniazd, aż po kresy Bukowiny. „Sokół“ stanisławowski rozszerzył w ostatnim roku ramy swojej pracowitej działalności i powołał kilka gniazd włościańskich do życia, a to w okolicznych osadach polskich:



Dwudziestopięciolecie „Sokoła“ stanisławowskiego: Dr. Zygmunt Mroczkowski, pierwszy prezes „Sokoła“ stanisławowskiego.



Dwudziestopięciolecie „Sokoła“ stanisławowskiego: Gmach Sokoła przy placu Mickiewicza w Stanisławowie.

Pierwszym naczelnikiem stanisławowskiego „Sokoła“ był ś. p. Henryk Langhammer, a pomocnikami jego byli druhowie Tad. Artychowski i Włodzimierz Świątkiewicz. Liczba członków „Sokoła“ stanisławowskiego była wówczas tak nieznaczna, że walne zgromadzenia odbywały się przy udziale 12—14 członków, a ćwiczenia dwa razy tygodniowo w sali szkoły realnej.

Wzrost „Sokoła“ stanisławowskiego datuje się od r. 1888, za prezesury bowiem Tad. Artychowskiego, zaczęto już myśleć o własnym gmachu i na ten cel zbierać fundusze.

W r. 1894 za prezesury obecnego przewodniczącego, weterana z r. 1863 inżyniera Antoniego Barancewicza, uzyskano od gminy przy pl. Mickiewicza grunt, na którym już w roku następnym wyrósł malowniczy gmach, według projektu architekty krakowskiego p. Karola Zaremby.

Delerowie, Hołoskowie, Marjampolu, Medusze i Jezupolu.

W r. b. przygotowuje się to dzielne gniazdo sokole do ponownego zlotu okręgowego, mającego się odbyć znowu w Stanisławowie.

42-letni jubileusz Towarzystwa muzycznego w Czerniowcach.

I na wschodnich kresach Polski kwitnie także towarzyskie artystyczne życie, a jego tętno i napięcie nie ustępuje bynajmniej zachodowi.

Najlepszym dowodem tego jest rozkwit Towarzystwa muzycznego w Czerniowcach. Towarzystwo muzyczne ukończyło w ubiegłym roku 42 lata chlubnej i owocnej swej egzystencyi, jest więc jedną z najstarszych instytucyj miejscowych. Założone zostało w r. 1862 przez szczupłe kółko miłośników i przyjaciół muzyki; przechodziło różne losy i koleje, zanim dzisiaj po półwiekowej blisko działalności stanęło na właściwych wyżynach artyzmu.

Z zadowoleniem i uznaniem podnieść należy że Towarzystwo spełnia chlubnie swe zadania i jest dla mieszkańców miasta i okolicy prawdziwem źródłem podniosłych wrażeń. Lwia część zasługi przypada w tem jej organizatorom i zarządowi. Prezesem Towarzystwa jest radca rządu p. Duzinkiewicz, znakomity amator-czelista. Działalność jego nie ograniczyła się tylko do Czerniowic — w r. 1891 założył w Suczawie podobneż Towarzystwo muzyczne. Zastępcą prezesa w sprawach administracyjnych Tow. muzycznego w Czerniowcach, jest radca Emanuel Rosenzweig, w osobie zaś p. Hrimalego, posiada instytucya znakomitego kierownika artystycznego.

Połączonej pracy i zabiegom tych panów zawdzięczać trzeba, że na estradzie Towarzystwa pojawiają się sami wybitni artyści, że pośrednio przez to



Dwudziestopięciolecie „Sokoła“ stanisławowskiego: Inżynier Antoni Barancewicz, obecny prezes „Sokoła“ w Stanisławowie.

kształci się i wydoskonala smak artystyczny u czerniowieckiej publiczności.

Dowodem zainteresowania się szerokich sfer sprawami instytucyi, jest między innymi i fakt, że znany miejscowy publicysta p. Antoni Norst wydał w 40-letni jubileusz obszerną monografię Towarzystwa, a dzieło to w bardzo krótkim czasie kompletnie rozkupionem zostało. Tytuł cennej tej pracy ozdobionej licznemi illustracyami brzmi: „Rozwój towarzystwa muzycznego w Czerniowcach od roku 1862 – 1902.

Sympatycznej instytucyi jak i niestrudzonym jej kierownikom życzyć należy powodzenia w dalszej pracy.



42-letni jubileusz Towarzystwa muzycznego w Czerniowcach: Własny gmach Towarzystwa w Czerniowcach.



42-letni jubileusz Tow. muzycznego w Czerniowcach: Prezes Towarzystwa, radca rządu Duzinkiewicz.



42-letni jubileusz Tow. muzycznego w Czerniowcach: Zastępca prezesa radca cesarski Emanuel Rosenzweig.

Szkoła imienia Sobieskiego we Lwowie.

Obowiązkiem szkoły jest nietylko rozwijać zasób umysłowy dziecka, lecz także dbać o jej rozwój fizyczny. O ile ocenę systemu wychowawczego w szkołach galicyjskich zostawiamy specyalistom, to obowiązkiem prasy jest wspomnieć o każdem usiłowaniu posunięcia się naprzód i o każdej reformie.

I trzeba przypomnieć, że u nas pod tym względem ogromnie małe znać postępy, że nawet nasze społeczeństwo spotykają zarzuty, iż szkołą nie zarządza tak, jakby należało i zaniedbuje wychowanie młodych pokoleń. Każdoroczne obrady sejmowe nad budżetem szkolnym dostarczają powodów do licznych skarg i utyskiwań i prawdziwie mamy na tem polu ogromnie wiele do zrobienia! To też z radością należy witać każdy krok postępu i wszelkie innowacye jakie zostaną dokonane na tem polu. Należy gorąco popierać wszelkie usiłowania w tym kierunku i nie szczędzić ofiar na cele oświaty — a wśród najniższych warstw naszego społeczeństwa budzić świadomość i zachęcać do kształcenia się.

Przed paru tygodniami oddała Rada miasta Lwowa do publicznego użytku nowo wybudowany piękny gmach szkoły ludowej, nazwanej. imieniem króla Sobieskiego. Szkoła ta jest pod każdym względem krokiem naprzód i przy jej budowie i urządzeniu dostrzedz można troskę o to, by pod względem hygieny gmach nie pozostawiał nic do życzenia. W tym kierunku dążyć powinien cały kraj i iść za przykładem tych wielkich gmin naszych, które nie szczędzą wydatków na szkoły i budują gmachy nietylko wspaniałe i okazałe na zewnątrz, ale i celowi swemu całkowicie odpowiadające.

Wejdzmy do wnętrza.

Schody szerokie, kamienne i — co najważniejsza — wygodne. Korytarze, jak i sale szkolne jasne; wentylacya automatyczna utrzymuje w nich zawsze odpowiednią temperaturę; podłogi zapuszczane olejem, by pył nie wzbijał się i nie unosił w powietrzu, a nadto na godziny wieczorne przeznaczone jest oświetlenie gazowe. Obok znajduje się sala gimnastyczna, połączona korytarzem ze szkołą.

Ale najważniejszą innowacyą tej szkoły jest wprowadzenie do jej sal ławek szkolnych systemu Rettiga, uchodzących za najdoskonalsze pod względem konstrukcyjnym i dla dzieci najwygodniejsze i najzdrowsze. We Lwowie istnieje bardzo znaczna liczba klas szczególnie w budynkach najętych, posiadających ławki stare, zupełnie nieodpowiednie i wadliwe. Istnieje też wiele klas, gdzie ławki pomieszane są pod względem systemów i jak obliczono, zmiana wszystkich ławek na inne, nowej konstrukcyi, kosztowałaby 200.000 koron. Główną wadą tych starych ławek jest to, że krępują dziecko siedzące w ruchach i że uniemożliwiają dokładne czyszczenie i zamiatanie klas. Ławki systemu Rettiga (skonstruowane w r. 1893 przez radcę budownictwa w Monachium W. Rettiga) braków wyżej wymienionych nie posiadają i są powszechnie za granicą za najdoskonalsze uważane i jako takie wszędzie wprowadzane. Dość powiedzieć, że badała je specyalna komisya przy współudziale znanego hygienisty, prof. Pettenkofera i wyraziła się o nich jak najlepiej.

Budynek szkolny, którego projektodawcą jest p. Michał Łużecki, został wykonany pod kierownictwem młodego inżyniera, p. Adolfa Pillera, który ze swego zadania wywiązał się zaszczytnie.

Koszta budowy wynoszą 270.000 koron, zaś koszta sprzętów szkolnych 25.000 koron.

W ten sposób Lwów zyskał jeden z pięknych gmachów, w którym mieści się młodzież tak męska, jak i żeńska, w liczbie 1.200 uczni.

Budynek ten przyozdobi Lwów i równocześnie da miastu wzorową szkołę, w której będą wychowywały się młode pokolenia. Koszta budynku są znaczne i widać, że miasto nie szczędziło pieniędzy na wybudowanie szkoły w całem znaczeniu słowa. Oby w ślad za Lwowem szły inne nasze miasta, a szkolnictwo galicyjskie zyskałoby na tem bardzo.



Szkoła imienia Sobieskiego we Lwowie: Nowo wzniesiony budynek szkolny.

ZE ŚWIATA.

„Atenami polskiemi" zwiemy zwykle Kraków. Uważamy miasto nasze za stolicę, w której tronuje kunszt ojczysty... i poniekąd mamy słuszność, suma bowiem usiłowań w nim dokonywanych przez garstkę ludzi dobrej woli w celu rozbudzenia prawdziwego zamiłowania do sztuki, oraz tryumfy, jakie wielcy artyści krakowscy odnoszą na wszechświatowych popisach i turniejach, przewyższają niezawodnie w trojnasób to wszystko, co razem wziąwszy, czyni i zdobywa dla niej Poska cała. A jednak, jakże nisko jeszcze stoi w starym i pięknym grodzie wykształcenie artystyczne i jak drobną jest ofiarność na zadania sztuki jakkolwiek ta ofiarność właśnie, mogłaby stać się doskonałym interesem dla wyzyskujących ją umiejętnie, gdyby w swej finansowej działalności opierali się na wspomnianem wyżej wykształceniu artystycznem. Co prawda przedsiębiorczość w kierunku, o którym mowa, nie znajdzie u nas jeszcze twardego gruntu pod nogami. Codzienne zetknięcie z faktami upartego zacofania, świadczy smutnie o obojętności ogółu dla każdej pracy, podejmowanej celem nadania naszej sztuce i naszemu młodocianemu przemysłowi artystycznemu indywidualnego, rodzimego, szczególnie nam przyrodzonego charakteru, tudzież dla popularyzowania poczucia dobrego smaku w masach. Ciągle dotąd i na każdym kroku imponuje nam „przyjemna tandeta" zagraniczna, wwożona do nas dlatego jedynie, że na miejscu, w którem wykonana została, nie znalazła już pokupu. Miała ona swoją racyę bytu niegdyś; dziś, kształcące się tam ciągle masy, chociaż cenią jej minione zasługi, szukają czegoś wyższego i doskonalszego, a nadprodukcyę dawnych kierunków i stylów posyłają krajom, stojącym na niższym poziomie kultury. My ją przyjmujemy, bo nie posiadając uszlachetnionej wrażliwości artystycznej, nie odczuwamy potrzeby odepchnięcia rzeczy marnych, przeżytych i już bezwartościowych, a popierania świeżej wartości swojskiej, często szczerze oryginalnej i noszącej na sobie cechy narodowe.

Żeby to stwierdzić, dość jest zacytować jeden jaskrawy dowód. Tak zwana inteligencya krakowska bardzo mało zajmuje się wzorową, pełną poświęceń działalnością towarzystwa, noszącego miano „Polska sztuka stosowana". Bo, że wcale liczna publiczność uczęszcza na wystawy przez nie urządzane, to jeszcze nie zasługa, ani poparcie, jakiego żądać i wymagać dlań należy od rozumnego ogółu. Wiemy z wieloletniego doświadczenia, jak bezmyślnie gromadzą się tłumy na wszelkich ekspozycyach. Większość zwiedza je dla zabicia czasu lub spotkania się ze znajomymi, przedewszystkiem zaś dla pokazania się w pośród mniej więcej wytwornego zbiegowiska. Wymienione towarzystwo, pomimo bardzo niskiej opłaty, składa się dotychczas ze szczupłej grupy członków i rozporządza skromnymi funduszami, a jednak zdziałało już wiele na niwie przemysłu artystycznego, który nietylko, że sam przez się jest wielce doniosłym czynnikiem cywilizacyjnym, lecz przyczynia się skutecznie do kształcenia upodobania w sztuce prawdziwej. Trudne są i niezmiernie uciążliwe warunki, w jakich „Polska sztuka stosowana" pracuje obecnie, a jednak wyniki jej działalności, zwłaszcza w zakresie typograficznym i kilimczarskim, jak na krótki czas istnienia stowarzyszenia, wydać się muszą bardzo dodatnio. Samo wydawnictwo „Materyałów", świetnie redagowanych przez dra Jerzego Warchałowskiego i utalentowanego artystę-malarza Edwarda Trojanowskiego (a których zeszyt piąty ukazał się w tych dniach na widok publiczny) jest jego wielką, chociaż dotąd niedostatecznie ocenioną zasługą, przyczynia się bowiem do poznania bogatych i różnorodnych, a staranie zbieranych zdobniczych motywów ludowych, z których nasz przemysł artystyczny czerpać powinien pomysły, a nawet poniekąd i wzory. Miejmy nadzieję, że społeczeństwo krakowskie, już teraz bądź co bądź odnoszące znaczne korzyści dzięki sztuce polskiej, przyciągającej majętnych ziomków ze stron dalekich, a nawet i cudzoziemców do naszego miasta, zrozumie nareszcie, że ono przedewszystkiem, w miarę sił i środków (których mówiąc szczerze nie braknie mu wcale), powinno przyczynić się do ugruntowania pod nią trwałych fundamentów, przez czynny współudział w zakładach, instytucyach i przedsiębiorstwach, mogących jej zapewnić stały rozkwit. Sztuka czysta dzisiejsza i jej przemysłowo artyczna pasierbica sztuka stosowana, jako rzeczy żywe i o żywotności naszej dające świadectwo, wraz z martwymi historycznymi zabytkami i pomnikami przeszłości, to kapitał, z którego, mieszkańcy naszego grodu ciągną zyski, niechże dbają o nie, otaczając opieką i pieczą pierwsze, nie niszcząc i utrzymując w pierwotnym ich stanie — drugie.

Niestety i co do ochrony pamiątek dzieje się u nas rozmaicie, a często niekoniecznie dobrze. Niejeden smutny czyn wandalizmu moglibyśmy tu zanotować, lecz... nie teraz jeszcze, bo przykry przedmiot potrzebuje obszerniejszego omówienia, na które w bieżącej kronice nie wystarczyłoby miejsca, dziś zaś przedewszystkiem pragniemy podzielić się z czytelnikami miłą nowiną. Wydział krajowy postanowił w jak najkrótszym czasie podjąć restauracyę zamku królewskiego na Wawelu. W tym celu wybrał komitet, który ma obmyślić i ułożyć organizacyjny program odnowienia. Do grona osób powołanych, należą: namiestnik Andrzej hr. Potocki, Leon hr. Piniński, Karol hr. Lanckoroński, Władysław Łoziński, Dr. Józef Wereszczyński członek Wydziału krajowego, prezydent miasta naszego Dr. Leo, profesorowie uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego Dr. Maryan Sokołowski i Dr. Jan Bołoz-Antoniewicz, Edward hr. Raczyński prezes Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, tudzież konserwator zabytków sztuki i pomników historycznych Dr. Stanisław Tomkowicz. Na prośbę marszałka krajowego, wniesioną osobiście przez niego samego do cesarza, pierwszy ochmistrz dworu książę Liechtenstein z polecenia monarchy zamianował reprezentantem i zastępcą urzędu ochmistrzowskiego przy wymienionym komitecie — ministra ceremonii Edwarda Chołoniewskiego. Inicyatywie Stanisława hr. Badeniego zawdzięczać należy pośpiech, z jakim sprawa potoczyła się nagle i toczyć się już będzie dalej prawidłowo. Dzięki też jego gorliwym i czynnym staraniom urząd ochmistrzowski nadesłał już Wydziałowi krajowemu do użytku plany restauracyi, opracowane w r. 1881 roku przez ś. p. Prylińskiego. Składają się one z rysunków, przedstawiających zamek w stanie aktualnym i z innych, odwzorujących go z możliwie dokładną historyczną ścisłością, jakim był w najświetniejszych chwilach swojego istnienia, gdy rezydowali w nim królowie polscy. W gronie komitetowem braknie architekty, co pewno w szerszych kołach społeczeństwa wywoła zdziwienie; dziwić się jednak temu nie należy. Wydział krajowy bowiem mniemał, że właśnie na komitecie ciężyć powinien obowiązek wskazania architektów polskich, mających wyrazić swoją opinię o głównym zarysie i szczegółach odbudowy. Nam się jednak zdaje, że powołani być muszą także i znakomici malarze nasi, spowinowaceni duchem i swoją twórczością z malowniczym obrazem wawelskiego zamku. Zdanie ich ściśle artystyczne, a zarazem fachowe oparte na głębokiej miłości piękna i dziejowej przeszłości, może mieć doniosłe znaczenie w uchwałach areopagu, złożonego przeważnie z mecenasów sztuki, estetów katedrowych i archeologów. Leon Wyczółkowski i Józef Mehoffer zdają się nam wskazani na doskonałych doradców przy odnowieniu pomnika, który w duszach i umysłach polskich, przedstawia się jako najszczytniejszy symbol naszej minionej sławy.

Z chwałą, w chmurnych czasach najnowszych spotkać się bardzo trudno, chyba, że — że źle nabytą. Taką posiadł w pośród groźnych i krwawych wypadków warszawskich, niejaki p. Mieszczański, współwłaściciel i administrator dziennika „Goniec poranny i wieczorny", człowiek dotąd zupełnie nieznany, a obecnie głośny w całej Polsce czynem, smutnie go zapisującym w pamięci ludzkiej. Pełna dosadnej charakterystyki rycina, pomieszczona na drugiej stronnicy poprzedniego numeru „Nowości illustrowanych", pozostanie na zawsze wymownem świadectwem... nie wiemy, jak rzecz nazwać... jego beztaktu, głupoty, czy nikczemności. Dopiero przyszła historya ostatnich zaburzeń znajdzie dlań właściwą nazwę. W chwili wybuchu powszechnego bezrobocia w Warszawie, gdy już wszystkie miejscowe dzienniki nie wychodziły, sprowadził on do drukarni żandarmów i żołnierzy — i pod ich opiekuńczym bagnetem i nahajem wydał ostatni numer swojej brukowej gazetki. Fakt wywołał słuszne oburzenie w licznym personalu redakcyjnym, składającym się z kilkunastu młodych dziennikarzy. Zażądali oni od p. Granowskiego, głównego wydawcy i nominalnego, naczelnego redaktora „Gońca", aby natychmiast usunął skompromitowanego wspólnika, lecz życzeniom ich, z początku niby chętnie przyjętym, nie stało się zadość, p. Mieszczański bowiem domagał się jednorazowej spłaty swego dość znacznego udziału w przedsiębiorstwie, na co współwłaściciele, z powodu ogólnej stagnacyi w ruchu pieniężnym, zdobyć się nie mogli. Wobec tego, współpracownicy opuścili redakcyę i wiadomość o swem wystąpieniu ogłosili we wszystkich dziennikach, w miarę jak te ukazywać się zaczęły. Równocześnie Bolesław Prus (Aleksander Głowacki, jasna i promienna gwiazda, przyświecająca gazecie, skiemu firmamentowi polskiemu, przestał pisywać felietony do „Gońca". Nadto trzeci współwydawca Dr. Józef Gutowski, opublikował następujące oświadczenie: „Wobec faktycznego i moralnego przeświadczenia, że dalsza moja styczność z współwłaścicielem „Gońca" jest wręcz niemożebną, zwłaszcza po gremjalnem ustąpieniu koła redakcyjnego, sprawę o rozwiązanie kontraktu powierzyłem w ręce mego adwokata". Tak więc, źle nabyta chwała p. Mieszczańskiego, według wszelkiego prawdopodobieństwa zabije poranny i wieczorny dziennicek, który — pomimo, że nie odznaczał się wcale szczególnemi jakiemiś zaletami i przeciętnie był bardzo słabo redadowany — zdobył sobie jednak w ostatnich czasach ogromną popularność i rozprzedawał dziennie przeszło 40.000 egzempl.

Teraz, gdy sprawozdawcza kronika nasza dobiega już końca, musimy wyczerpać ryczałtowo i pośpiesznie materyał drobnych wieści, przyniesionych przez tydzień ubiegły. Nie podobna ich ująć w kompozycyjno-felietonowy układ, bo nie są ani sobie pokrewne, ani nawet bliskie, a rozpryskają się każda w inną stronę, jak krople deszczu, bijącego gwałtownie o kamienne płyty ulicznego chodnika. Regestrujemy je zatem, nie wiążąc z sobą w mozajkową całość. Przedewszystkiem zapisać tu należy odezwę, otrzymaną ze Lwowa i zaczynającą się od wyrazów: „Grono ludzi dobrej woli powzięło myśl uczczenia nieodżałowanej pamięci zgasłego w kwiecie wieku, niezwykle utalentowanego artysty dramatycznego Władysława Romana zbiorowem wydawnictwem. Wydawnictwo to miałoby przedewszystkiem na celu możliwe utrwalenie pamięci aktora, którego działalność z natury rzeczy przemija bez śladu, a jednocząc w sobie żywe jeszcze wspomnienia tych, którzy współdziałali w pracy polskiego artysty lub patrzyli na nią, stanowić będzie cenny materyał dla przyszłego historyografa teatru polskiego. Czysty dochód z wydawnictwa przeznaczony jest dla niezaopatrzonej rodziny po ś. p. Romanie." Dla doprowadzenia do skutku dobrego i miłosiernego przedsięwzięcia utworzył się komitet, złożony z panów: Ludwika Solskiego, reżysera sceny lwowskiej, Juliusza Tennera, znanego estety i Władysława Antoniewskiego, artysty dramatycznego, a na jego czele stanął Tadeusz Pawlikowski, jak zawsze otaczający ojcowską opieką familje tych, którzy wiernie i wytrwale służyli sztuce pod jego sztandarem. Nie ulega wątpliwości, że wezwani do zapełnienia publikacyi autorowie dramatyczni, krytycy teatralni i koledzy nieboszczyka (pomimo niezmiernie krótkiego czasu wyznaczonego na dostarczenie rękopisów) przeszlą redakcyi książki zbiorowej swe najżywsze i najbarwniejsze wspomnienia o zmarłym, który tu w Krakowie, pod kierownictwem Pawlikowskiego, rozwinął się prawie nagle i w krótkim czasie zjednał sobie życzliwe uznanie całej naszej inteligentnej publiczności. Wydawnictwo pomieści także ilustrowany życiorys Romana.

Zygmunt Noskowski, jeden z najznakomitszych i najoryginalniejszych kompozytorów polskich, napisał operę, do której sam nakreślił libretto, osnute na kanwie dramatu „Ksenia" Aurelego Urbańskiego. Od wykształconego melomana, który w przeszłym tygodniu powrócił z Warszawy, dowiadujemy się, że nowe dzieło dramatyczne autora „Livii Quintylli" jest prześliczną kreacyą, która prawdopodobnie po próbie ogniowej w teatrach warszawskim i lwowskim, wybiegnie na świat szeroki, aby na deskach lirycznych scen europejskich zdobywać zasłużone tryumfy... Nie wszystkich kandydatów, pragnących ubiegać się o dyrekcyę teatru krakowskiego wymieniliśmy w poprzedniej naszej kronice. Jak nam donoszą z pewnego źródła w szeregach ich stanął obecnie p. Juliusz Bandrowski, były dyrektor teatru lwowskiego, a w ostatnich czasach współpracownik warszawskiego dziennika „Słowo". Kończymy naszą dzisiejszą gawędę stwierdzeniem wielkiego powodzenia, jakiem w przeszłą sobotę cieszył się „bal artystyczny". Uczniowie Akademii sztuk pięknych udekorowali olbrzymią salę „Sokoła" w stylu japońskim; przedstawicielki i przedstawiciele wszystkich światów towarzyskich zgromadzili się w niej bardzo licznie; obie galerye przepełniły się ciekawymi widzami; toalety dam błyszczały dobrym smakiem i elegancyą; nie brakło między niemi nawet dwóch strojów staro-japońskich, zwanych „kimono"; tańczono i bawiono się ochoczo do rana... Słowem, bal dzieci sztuki był prawdziwym „clou" tegorocznego karnawału. Dosięgnął wyżyn sukcesu, na które nie wzniósł się dotąd żaden z poprzednich.

Verax.



Z wojny ros.-jap.: Atak piechoty rosyjskiej na armaty japońskie pod Sandepu

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Najważniejszym wypadkiem na terenie wojennym, który przerwał panującą tam od dłuższego czasu monotonność. jest nagły atak Rosyan na lewe skrzydło japońskie pod Sandepu.

Dla oryentacyi dodajemy, że Sandepu, jak i cały teren wojenny, znajduje się na szerokiej płaszczyźnie pomiędzy rzekami Hun a Szah, na północny zachód od Liaojangu. Kuropatkin, pędzony przez zwycięskie wojska japońskie, zatrzymał się aż pod Mukdenem i zdawało się, że rozciągnąwszy swoją trzykroć stotysięczną armię na szerokim płaskowzgórzu, będzie miał szczęśliwszą rękę w prowadzeniu wojny. Fachowi znawcy stwierdzają, że w porze zimowej teren górzysty nie jest tak dogodny do prowadzenia wojny, jak teren płaski. Mimo przeniesienia przez Kuropatkina punktu ciężkości na równiny po lewej stronie toru kolejowego, łączącego Liaojang z Mukdenem, szczęście nie przeniosło się z obozu Oyamy do niego i ostatni atak wojska rosyjskiego na miejscowość Sandepu skończył się sromotną klęską atakujących.

Atak rosyjski na Sandepu był uplanowanym aktem zajścia na tyły Japończyków. Generał Gripenberg, stojący na czele prawego skrzydła rosyjskiego, prowadził do ataku. W pierwszej chwili ataku rosyjskiego, szanse zwycięstwa były w zupełności po stronie generała Gripenberga. W Sandepu broniła się zaledwo garść wojska japońskiego i Rosyanie mogli masami swych pułków, które szły do ataku, zgnieść do szczętu Japończyków. Bitwa była nadzwyczaj krwawą i zażartą i dzięki tylko dobremu ufortyfikowaniu atakowanej miejscowości, Japończycy zdołali się utrzymać na swej pozycyi.

Walka koło Sandepu przypominała zażarte boje, jakie staczano pod Portem Artura i pod Liaojangiem. Japończycy okazali przy obronie i odpieraniu ataków rosyjskich równie wielkie męstwo i odwagę, jak i przy brawurowych atakach na forty rosyjskie. Gdy w pierwszym dniu walki zdawało się, że generał Gripenberg zajmie szturmem Sandepu, dzień drugi szanse przechylił na stronę Japończyków, którzy otrzymawszy silne posiłki, odparli będących w liczebnej przewadze wrogów. Klęska, jaką przy tym nieudałym ataku, a więcej jeszcze przy odwrocie, ponieśli Rosyanie, była jedną z najstraszniejszych. Generał Gripenberg zawdzięcza nadzwyczajnemu bohaterstwu swych wojsk, że nie został zupełnie i to doszczętnie zniesionym.

Pobojowisko zasłały trupy — a ranni, którzy



Z wojny ros.-jap.: Generał Gripenberg w otoczeniu świty.



Z wojny ros.-jap.: Atak Japończyków na pozycye rosyjskie pod Kinczou.

przeleżeli półtorej godziny na ziemi, ginęli od mrozu! Nie wiadomo, czy są przesadzone te wieści, jakie nas dochodzą z placu boju — ale według telegramów pism angielskich, w walce tej od kul i od mrozu straciło życie około 30 tysięcy ludzi! Za tak olbrzymiemi stratami przemawia i to, że Kuropatkin zwrócił się do Oyamy z prośbą o chwilowe zawieszenie broni, by módz pogrzebać trupy.

Rycina nasza przedstawia atak na Sandepu. Wojska rosyjskie całemi kolumnami idą do ataku mimo, że japońskie kule armatnie wpadają między szeregi rosyjskie i sprawiają pośród nich istotną rzeź i zmiatają z powierzchni całe kompanie. Po prawej stronie pop stojący obok oficera, błogosławi pierwsze szeregi, mające przejść do ataku z bagnetem w ręku na japońskie armaty. W dali widać masy wojsk rosyjskich idące do szturmu, a ostrzeliwane przez celną artyleryę wroga.

Winę nieudałego ataku na Sandepu składa dowodzący tym atakiem generał Gripenberg na Kuropatkina. Kuropatkin nakazał mu odwrót w chwili, kiedy — według twierdzenia Gripenberga — wojska rosyjskie z bohaterstwem i dokonując cudów waleczności szanse walki na swą stronę przeciągały. Zamiast dostarczyć atakującym pomocy i nadesłać nowe pułki dla podtrzymania walczących już drugi dzień wojsk Gripenberga, Kuropatkin nakazał odwrót i tym swoim rozkazem zaprzepaścił z takim trudem, wysiłkiem i ofiarami przeprowadzony atak na Sandepu. Naczelny wódz pokazał, że niema zgoła kwalifikacyi na dowódcę i że pod jego kierownictwem Rosyanie nigdy szans zwycięstwa nie pozyskają, a hasłem armii będzie nadal: cofanie się w porządku przed następującym na pięty nieprzyjacielem.

Nic też dziwnego, że wydanie przez Kuropatkina rozkazu Gripenbergowi cofnięcia się, wywołało między tymi dwoma generałami ostre starcie!

Gripenberg postanowił walczyć do upadłego i atak uplanował tak, żeby się powiódł. W przemowie, jaką miał do żołnierzy przed bitwą, zapowiedział, że raczej śmierć wybierze, niż odwrót i klęskę. Kuropatkin rozkazując mu się cofać, skompromitował go wobec całej armii, pozbawił go czci i honoru! Gripenberg zażądał natychmiast osobnego pociągu, by się udać do Petersburga. Car telegraficznie przyjął jego dymisyę i rozkazał mu przybyć do siebie, by zdał relacyę z całego zajścia.

Obok podajemy podobiznę generała Grippenberga w otoczeniu świty. Generał Gripenberg jest starym weteranem, który brał udział prawie we wszystkich wojnach, jakie prowadziła Rosya od powstania polskiego w r. 63 począwszy. W wojnie rosyjsko-tureckiej dowodził korpusem moskiewskim i został mianowany generał-majorem.

Z rysunku załączonego można poznać, że jest to żołnierz w całem znaczeniu tego słowa. Marsowate rysy twarzy, zawiesisty wąs mówią wyraźnie, że mamy do czynienia ze starym, odważnym wiarusem. Śmiały atak na Sandepu pod jego dowództwem jest tego najlepszym dowodem.

Jak skończy się to obecne przesilenie sztabu generalnego — trudno przewidzieć. Przypuszczają wszyscy, że Kuropatkin, który od ustąpienia Aleksiejewa, t. j. od połowy października dzierżył w swych rękach naczelną komendę i nie potrafił ani jednym rozumnym krokiem naprawić sytuacyi na dalekim Wschodzie i zrehabilitować skompromitowanej klęskami i złodziejstwami „matiuszki Rossii", zostanie odwołanym i pójdzie za Aleksiejewem w „duraki"! Podobno partya wielkich książąt prze na dwór i domaga się odwołania Kuropatkina. Kto zostałby jego następcą — nie można powiedzieć na pewno, gdyż o wielu osobistościach mówią już dziś dzienniki. Z ważniejszych figur, domniemanych następców Kuropatkina, jest generał Liniewicz, dowodzący obecnie samodzielnie pierwszym korpusem, operującym w północnej Korei, a także obecny minister oświaty, generał Glazow. Inni wysuwają na naczelnego wodza jednego z wielkich książąt.

W tym chaosie, panującym nietylko w obozie Kuropatkina, ale i w mózgownicach wszystkich wodzów i całej starszyzny, trudno doszukiwać się i domyślać możliwych planów na przyszłość, gdyż, jak się zdaje, oni sami nie zdają sobie sprawy z tego, czy mają jakie plany wogóle! Faktem stwierdzonym jest, że ani jeden z nich nie sprostał wodzom japońskim, a najrozsądniejszym czynem dworu byłoby odwołanie nie Kuropatkina, ale całej armii!

Że Kuropatkin kłamał, donosząc carowi o pomyślnych utarczkach poszczególnych oddziałów wojsk rosyjskich z wrogiem — dowiodły tego sprawozdania marszałka Oyamy. Ale mniejsza o to! Rosya w swym własnym interesie winna zakończyć wojnę jak najszybciej, gdyż w przeciwnym razie straci nietylko Mandżuryę, całą flotę swoją i urok potężnego mocarstwa, ale straciwszy kredyt runie finansowo! A przepędzając Kuropatkina winna odwołać i swe wojska ze Wschodu i zamiast ekspanzywnej i zaborczej polityki na zewnątrz, siły swoje zwrócić na wewnątrz, by przeprowadzić te szerokie i ogólne reformy, jakich się domagają wszyscy obywatele i usunąć wywołaną skutkami wojny nędzę materyalną i niezadowolenie.

Wojska rosyjskie są ustawicznie atakowane przez drobniejsze oddziały japońskie. Kuropatkin zmuszony jest cofać się przed naporem nadchodzących Japończyków — a skutki cofania się i opuszczania zajmowanych dotychczas stanowisk, są w obecnej porze zimowej fatalne. Wojska muszą obecnie opuszczać swe leża i z zajmowanych dotychczas leż, wykopanych w ziemi i chroniących stosunkowo dość znacznie przed zimnem i słotą, muszą przenosić się dalej na północ, gdzie już nie będzie można rozkopywać zmarzniętej ziemi i budować nowe schroniska dla wojsk — a przynajmniej będzie przychodziło to z wielkim trudem i nakładem pracy. Nadto zamieszkanie w takich świeżo wykopanych norach jest i ze względów hygienicznych niebezpieczne! Oto nowe trudności, z jakiemi muszą walczyć wojska w czasie zimy. A jest rzeczą pewną, że wskutek braku ciepłych ubrań, odpowiednich na zamieszkanie baraków, wskutek braku posilnego i zdrowego pożywienia, stan armii ucierpiał już dotkliwie i jeszcze ucierpi.

Przypuszczają, że faktyczny stan armii rosyjskiej nie dochodzi liczby 300.000 żołnierzy, zdatnych do boju. Byłoby to prawdziwe fatum i w takich warunkach szanse wojny byłyby w zupełności po stronie Japonii.

Południowa Mandżurya, ten żyzny, urodzajny i bogaty szmat kraju, który przed kilku laty Rosya Chinom zagrabiła, jest dzisiaj w całkowitem posiadaniu nowych zdobywców — Japonii. Kraj wyniszczony już cały rok trwającą wojną, ograbiony ze wszystkich plonów, mieszkańcy obłupieni i pozbawieni nietylko swojego mienia, ale i dachu nad głową, niepewni życia, narażeni na brutalne zachowanie się i gwałty żołdaków. — oto los tej ziemi, której dobrobyt był solą w oku stron wojujących.

Znanem powszechnie jest odnoszenie się rosyjskiego wojska do mieszkańców Mandżuryi. Grabiono i okradano ich z dobytku, plonów, które zabierano dla wojska — a nikomu nie śniło się nawet o zapłaceniu. Znani ze swych grabieżczych instynktów kozacy, którzy nie przejadą przez wieś, by nie ukraść kilka kur przynajmniej włościanom, hulali tam i grabili i dokazywali istnych orgij na biednych chińczykach.

Używani do najcięższych posług, jako kulisi, mający dowozić do obozów żywność, pomagać przy przenoszeniu obozu i przy innych transportach, używani jako przewodnicy, a także do akcyi wywiadowczej oddziałów wojskowych jako szpiegowie — znosili mieszkańcy Mandżuryi na swych barkach wszystkie nietylko grymasy, ale i wszystkie niepowodzenia, które były udziałem dzikiego żołdactwa.

Załączamy do tego numeru rycinę, przedstawiającą grupę chińczyków, którzy jako szpiedzy przyszli do obozu rosyjskiego i zdają sprawę ze swych wycieczek. Nieszczęśliwe miny tych ludzi

użytych do najhaniebniejszej roli, jaka może przypaść człowiekowi, mówią wyraźnie o tem, co oni czują i jaką jest ich dola.

To, cośmy powiedzieli o doli chińczyków w tej wojnie, to dopiero jedna z ohydnych stron każdej wojny. A te wszystkie sztuczki i środki, by złapać przeciwnika w zasadzkę i podstępnie go życia pozbawić lub narazić na jak największe męczarnie — czyż to nie urąga wszelkiemu wyobrażeniu o godności ludzkiej!? Jedni wysilają się i drudzy, by uzyskać przewagę nad wrogiem za wszelką cenę i nikt nie oszczędza życia ludzkiego! Wojna przybrała się dziś w te wszystkie formy, które urągają człowieczeństwu, rozumowi i tym wzniosłym hasłom o miłości bliźniego — i wojna usprawiedliwia wszelki czyn, który kiedyindziej zostałby potępionym najbezwzględniej – bo rozpętane namiętności chcą tylko jednego i jednego pragną: zniszczenia przeciwnika!

Czyż załączony obok obraz ataku Japończyków pod Kinczou, na pozycye rosyjskie nie mówi tego samego? Użyto wszystkich środków technicznych, by powstrzymać wroga i wystawić go na pewną zgubę! Poprzeciągano kolczaste druty, by w ten sposób powstrzymać nacierających i idących do ataku i módz strzelać do zajętego przy przecinaniu tych drutów przeciwnika. W wykopanych dołach ponabijano ostre koły, na które nabije się każdy, kto raniony padnie na ziemię i nie może utrzymać się na wąskim przesmyku, prowadzącym między dołami. Grozą przejmuje każdego widok takiej walki i widok tysięcy ludzi, ginących w takich walkach!

To też bohaterskim prawdziwie był atak pod Kinczou, który okrył sławą wojsko japońskie. Była to tak wielka pogarda śmierci, że z szacunkiem i podziwem musi stanąć przed tym faktem każdy człowiek. Ten zapał i to męstwo, z jakiem szli zawsze do ataków i do wszystkich szturmów Japończycy, znajdują wytłómaczenie w tem na gruncie religijnem, powstałem u Japończyków lekceważeniu życia i gotowości złożenia życia w ofierze za ojczyznę. Ta moralna wyższość żołnierza japońskiego nad rosyjskim zaimponowała nawet rosyjskim korespondentom, a znany powszechnie ze swych pięknych korespondencyj z pola wojny Niemirowicz-Danczenko odważył się publicznie w pismach zaznaczyć, że wyższość moralna japońskiego żołnierza jest największą przeszkodą do zwycięstwa Rosyi nad Japonią. Nie o armaty i nie o fortyfikacye japońskie rozbiją się wszystkie usiłowania rosyjskie, ale o piersi gardzących śmiercią piechurów japońskich.

Z taką gotowością idących do walki widziano tylko wojsko, które na barykadach biło się o wolność, widziano tylko bohaterskich Greków i walczących z najazdem tureckim rycerzy średniowiecznych.



Z wojny ros.-jap.: Grupa szpiegów chińskich w obozie rosyjskim.

* * *

Dnia 6 lutego minął rok od wybuchu wojny. Przed rokiem w tym dniu zostały zerwane rokowania i wybuch wojny stał się faktem dokonanym. Już w nocy z dnia 8 na 9 lutego, torpedowce japońskie zaatakowały niespodziewanie flotę rosyjską w Porcie Artura.

Przed rokiem spoglądano na Japonię, jako na lekkomyślną i niezdającą sobie sprawy z groźnych następstw, prowokatorkę. Domyślano się, że poza atakującymi flotę rosyjską w Porcie Artura torpedowcami japońskimi, musi ukrywać się jakaś obca ręka, która nimi kieruje. Domyślano się, że ręką tą jest Anglia i że z racyi przymierza między nią a Japonią i ona w tej wojnie udział bierze i czekano z obawą na spodziewane zawikłania międzynarodowe. Wkrótce jednak spostrzeżono się, że wypadki inaczej się przedstawiają. Anglia stała zdaleka i nikomu z Anglików nie śniło się nawet brać udziału w tej wojnie i znaczenie przymierza japońsko-angielskiego pozostało i nadal niewytłómaczone. A dziś nikt już nie sili się robić hypotez co do tego przymierza, gdyż ubiegły rok wojny wszystkim jasno i wymownie powiedział, że Japonia sama posiadała dość sił, by do walki z Rosyą wystąpić i że była pewną, iż wrogowi sprosta! Dziś nikt nie mówi, już o zawikłaniach europejskich, z racyi wojny na dalekim Wschodzie i każdy jest pewnym, że zwycięską wojnę poprowadzi Japonia tak długo, aż zakończy tryumfem na całej linii. Do walki przygotowywała się Japonia długo i energicznie i dziś jej organizacya wojskowa imponuje całemu światu.

Nie spodziewano się, by ten kraj, który dopiero od 50 lat wszedł w bliższy kontakt z Europą, stał już tak wysoko nawet pod względem techniki wojennej. Zdziwili się niemile wszyscy, a najbardziej Rosya,' dla której ta wojna jest nawet i z tego względu nieszczęśliwą, że wyciągnęła na jaw i na światło dzienne wszystkie cechy gospodarki czynowniczej, wszystkie złodziejstwa, jakich się dopuszczała bezkarnie zgraja łapowników, nieodpowiedzialnych przed nikim i niekontrolowanych przez społeczeństwo. Te skutki wojny są może najfatalniejsze dla Rosyi, bo rok ubiegły wykazał przedewszystkiem, że siły wewnętrzne dzisiejszej Rosyi są tak rozpętane, iż katastrofa jest konieczną.

Czynownictwo, rządzące dziś Rosyą, musi na swe barki przyjąć całkowitą odpowiedzialność za te klęski, jakie spadły na Rosyę w ostatnim roku; okazało się ono zgoła niezdolne do dalszego kierowania nawą państwową, a nawet nie potrafiło zabezpieczyć się przed zewnętrznym wrogiem i osłonić Rosyę przed możliwemi klęskami. Rabunkowa gospodarka czynowników odbiła się teraz na skórze całego społeczeństwa, wciągniętego niepotrzebnie w nieszczęśliwą wojnę.

To też u sfer czynowniczych, nawet u samego dworu powstaje myśl ukończenia wojny i zawarcia pokoju. Wiedzą oni, że dzień każdy, to nowy dzień kompromitacyi i nowych klęsk, a w ich własnym interesie leży, by zatrzeć i zniszczyć przynajmniej w pamięci, jeśli nie w rzeczywistości ślady ich gospodarki! Dziś uwierzyli wszyscy, nawet najbardziej zacofani ludzie, że tylko dopuszczenie społeczeństwa do kontrolowania administracya i do stanowienia o sobie może wzmocnić Rosyę i wprowadzić ją na nowe tory rozwoju i rozkwitu.

Dziś dają się słyszeć jeszcze aczkolwiek nieliczne głosy, że Rosya jest jednak zdolną prowadzić wojnę rok i dwa lata i nagromadzić tam na Wschodzie tak wielkie masy wojska, że liczebnie zmoże Japonię.

Po niepowodzeniach Rosyan na morzu, trudno było twierdzić, że broń rosyjska równie bez nadziei zwycięstwa będzie walczyć na lądzie.

Nawet po pierwszych klęskach pocieszali się Rosyanie, że tradycya wykazała, iż żołnierz rosyjski jest wytrwałym i mimo chwilowych niepowodzeń odniesie w końcu zwycięstwo nad wrogiem. Przytaczano na dowód wojny napoleońskie, wojnę rosyjsko-turecką.

I nikt dziś nie odmawia Rosyanom wytrwałości, owszem, walczą już przez rok i cierpliwie nadstawiają plecy na cięgi japońskie. Mimo tego, że niezaprzeczenie istnieje u nich chęć pomszczenia się za odebrane guzy, dwunastomiesięczny okres nie wystarczył im do nagromadzenia na dalekim Wschodzie dostatecznej liczby żołnierzy, którzyby mogli uzyskać przewagę nad nieprzyjacielem.

Poważniejsi politycy i strategicy twierdzą już dziś, że Rosya winna się zrzec raz na zawsze myśli o pomście na Japończykach i odebraniu Portu Artura, który straciła bezpowrotnie — i o ile nie chce bezcelowego krwi rozlewu, lepiejby się uznała za pokonaną i zaprzestała prowadzenia wojny, która kosztuje codziennie miliony.

Czy Rosya pójdzie za tym głosem rozsądku — to jest pytaniem. Zapewne dobrowolnie nie zechce, ale zmusi ją do tego potężny ruch rewolucyjny, którą rozgorzał na całem terytoryum carstwa!

A chwila stałego pokoju nietylko zewnętrznego, ale i wewnętrznego może już niedaleko!



Helena Modrzejewska.



Adolfina Zimajer.

Migawki teatralne.

Są pewne fenomenalne zjawiska sceniczne, które wzbudzają podziw i uwielbienie tłumów. I rzecz dziwna: prawdziwi wielcy artyści, wzniósłszy się talentem na prawdziwie niedoścignione niemal wyżyny sztuki – zdają się po prostu nie ulegać ogólnym fizycznym prawom. Nie starzeją się widocznie, bo nawet i w spóźnionym wieku życia – zachowują wszystkie cechy, charakteryzujące młodość. Zatrzymują ten sam zapał i temperament, tą samą subtelną intuicyę, nawet wygląd ich i głos nie ulega w starości zmianom. Na dowód wystarcza przytoczyć nazwiska takiej Sary Bernhard, Lewińsky'ego, Sonnenthala, Judic, Talmy – z naszych artystów: Modrzejewską, Leszczyńskiego – Zimajer.

Nie należy się gorszyć zestawieniem w tak bliskiem sąsiedztwie nazwisk największej polskiej tragiczki i — operetkowej „divy“. Modrzejewska i Zimajer, aczkolwiek ich talenta zupełnie odmienne i drogi karyery artystycznej zupełnie rozbieżne – mają jednak wspólną sobie cechę: genialność.

Operetka, pod której sztandarem od pół wieku przeszło kroczy „Zimajerka“ – jest najmłodszą i najswawolniejszą ze wszystkich muz. Nie przeszkadza to wcale jednak jej adeptkom – że nawet i w tym kierunku twórczości mogą dojść do wyżyn artyzmu. Wszakżeż zdarzają się nawet prawdziwe artystki wśród szansonistek – że wspomniemy tylko taką Lonę Barrison lub Yvetę Guilbert.

Adolfinę Zimajer – zna w ścisłem słowa znaczeniu – cały świat. Pierwsze kroki stawiała na polskiej scenie, oczywiście na prowincyi. I już tu zabłysnęła od razu swym wrodzonym talentem i olśniła wszystkich urodą, wdziękiem młodości i ową subtelną artystyczną grą, daleką od rozwiązłości dzisiejszych modnych kapłanek podkasanej Muzy. To też niebawem znalazła Zimajer znakomite propozycye kontraktowe na pierwsze sceny w Polsce. W jakiś czas później widzimy ją za granicą. Z Wiednia, z Karlteatru, gdzie bawiła dłuższy czas w gościnie – przenosi się do Berlina, gdzie występuje jako subretka operetkowa w wielkim światowym teatrze rozmaitości (Varietée). I za Oceanem znają uroczą, chociaż już dzisiaj dobrze leciwą primadonnę. Jej „tournée“ po Ameryce było jednym ciągiem nieprzerwanych entuzyastycznych owacyj ze strony Yankesów. Zimajer wróciła z Ameryki obładowana dolarami i obwieszona jak moskiewski ikon drogocenną biżuteryą. Czy sądzicie jednak, że posiada wiele z minionych dni świetności i powodzenia? Tak jest! ma wiele fotografii pochlebnych – jeszcze pochlebniejszych recenzyi i jest właścicielką skromnej willi w Zakopanem, zwanej od niej „Zimajerówką“. O tak! ma więcej jeszcze — ma wspomnienia własne i wdzięczność żyjących, a pamiętających jej dobre dawne czasy. Nie wszystkie gwiazdy zatrzymują aż do swego końca ten sam blask. Jedne gasną nagle w pełni oślepiającego światła swego – inne bledną zwolna. I tych dola z pewnością — najsmutniejsza!...

* * *

Najwybitniejszą, najzdolniejszą, najbardziej utalentowaną polską artystką dramatyczną, była Helena Modrzejewska. Piszemy: była — gdyż obecnie, choć jeszcze żyje, już nie grywa i wycofała się dla swego podeszłego wieku ze scen tak naszych, jak i zagranicznych. Przed dwoma laty przyjechała ze swych dóbr w Kalifornii na gościnne występy do nas; występowała w Krakowie przez dłuższy czas i mieliśmy sposobność odświeżyć sobie w pamięci te wspaniałe kreacye, na których odtworzenie nie prędko znajdzie się u nas druga artystka, jej równa. Występowała Modrzejewska na wszystkich prawie scenach znaczniejszych w Europie i w Ameryce i wszędzie zdobywała laury.

Modrzejewska pochodzi z rodziny, w której, zdaje się, tkwiły już wrodzone zdolności artystyczne. Dwaj jej bracia występowali w teatrach galicyjskich, a i ona sama dość wcześnie weszła na deski teatralne i okazała wybitne zdolności. Urodziła się w r. 1842 w Galicyi. Karyerę artystyczną rozpoczyna od r. 1861. Najpierw występuje w prowincyonalnych teatrzykach, grając role bardzo różnorodne, a występując także w wodewilach i operetkach. W r. 1865 zostaje zaangażowaną do teatru krakowskiego, którego dyrekcyę objął świeżo hr. Adam Skorupka. Tu zwrócono na nią uwagę i wkrótce zauważono, że talent jej jest znaczny, ale nadaje się raczej do ról innych, a nie do naiwnych, w których występowała. To też występy w rolach Sary (w „Salomonie“ W. Szymańskiego) i Anny Oświęcimówny (Antoniewicza) zdobyły jej uznanie ogólne i postawiły ją w szeregu pierwszorzędnych artystów. Imię jej stało się głośnem w całej Polsce, a powodzenie, zdobyte na deskach teatru krakowskiego, zapewniło jej przyszłość. W tym czasie wyszła za mąż za hr. Karola Chłapowskiego, ale nazwiska swego nie zmieniła i nadal występowała w teatrach jako Modrzejewska. W r. 1869 przenosi się do Warszawy i tu podbija sobie całą publiczność. Teatr warszawski podnosi się na wyżyny świetnego rozwoju i repertuar swój wzbogaca wystawieniem sztuk Szekspira, Szyllera, Wiktora Hugo, w których Modrzejewska święci tryumf wspaniałem odtwarzaniem bohaterskich postaci. Opuściwszy teatr warszawski, udaje się do Kalifornii w r. 1876 i wyuczywszy się po angielsku, występuje na deskach teatrów angielskich, a jej występy na scenach zagranicznych cieszyły się nie mniejszem powodzeniem, jak w Polsce.

Wyjazd Modrzejewskiej z kraju do Ameryki spowodował ubytek jednej z najpoważniejszych sił artystycznych naszego polskiego teatru. Od tego czasu Modrzejewska zjeżdżała do nas na gościnne występy, a stale objeżdżała teatry zagraniczne: angielskie i amerykańskie.

Talent artystyczny Modrzejewskiej jest niezrównanym. Talent to nawskróś bohaterski i do tego w swym zakresie bardzo szeroki. Wszystkie jej kreacye, czy to w dramatach Szekspira, czy w innych, mówią jedno, że artystka umie tak opanować swą rolę, iż stwarza prawdziwe arcydzieło. Wszystkie środki techniczne, jakiemi może artysta dramatyczny rozporządzać, stały do jej rozporządzenia, a pod względem opanowania mimiki mało kto jej może dorównać. W jej kreacyach nie znajdzie się niczego, coby mogło razić gust estetyka, coby mogło psuć całość, która zawsze jest u niej harmonijną i bez zarzutu!

Najwybitniejszemi rolami jej były: Lady Macbet (w „Macbecie“), Marya (w „Maryi Stuart“), Ofelia (w „Hamlecie“), Julia (w „Romeo i Julia“), Małgorzata (w „Safandułach“) i Adrjanna Lecouvreur.

Kącik humorystyczny.

U wód.

Restaurator: A! pan Giorczak! „O tak, przypominam sobie, pan dobrodziej był u nas także zeszłego roku ze swoją panią, lecz pani jest teraz szczuplejsza“.

„„Tak, cokolwiek““.

„I była przedtem słuszniejszą“.

„„Tak, tak. Nieznacznie““.

„I zdaje mi się, że miała jaśniejsze włosy“.

„„Miała, a zresztą między nami mówiąc, nie jest to ta sama““.

Kwartet holenderski..

Muzyka kwartetowa, jest jak rzadki cieplarniany kwiatek, który pielęgnowany być musi z wielką pieczołowitością, a który służąc tylko prawdziwym znawcom, dochodzi mimo swej nikłości do wielkiej ceny. Nieznanym w naszem społeczeństwie objawem, jest wielkie zamiłowanie u Holendrów do hodowli tulipanów, których wartość dochodzi do bajecznej nieraz wysokości. U nas nietylko tulipan, ale wogóle kwiat jest czemś, w co chętnie się przystrajamy, zwłaszcza wtedy, gdy dużo nie kosztuje — a pasya do tulipanów u Holendrów, olbrzymie sumy łożących na hodowlę już nie całego rodu tulipanów, lecz tylko pojedynczych okazów, jest — mówmy otwarcie — śmieszną, gdyż nie umiejąc odczuwać piękności i poezyi w tym kierunku — nie potrafimy odczuć i potrzeby posiadania i majenia sobie życia tym właśnie a nie innym kwiatem.

Mniej więcej tak samo ma się rzecz z muzyką kwartetową. Osobniki tępe lub mniej wrażliwe na skomplikowane i kunsztowniej zbudowane utwory muzyczne — chodzą na produkcye kwartetowe — dlaczegóżby nie, przecież to się da wysłuchać — ale produkcye te przechodzą na nich bez wrażenia. U nich podnosi się temperatura uczuć dających odzew muzyce — tylko w takt monotonnego rytmu walca lub marsza — lub wreszcie za dźwiękiem ckliwej piosnki z Café chantant.

Inaczej — znawca — smakosz. Temu szklą się oczy wówczas, kiedy dobrana czwórka smyczków filuje w Scherzo — rozjaśnia się wejrzenie, kiedy szlachetne linie Beethovenowskiego Andante lub



Adagio płynną przez salę... lichy na swym fotelu, przeżywa eklekta muzyczny prawdziwie podniosłe chwile. Społeczeństwem naprawdę kulturnem jest niewątpliwie to, które posiada zespoły tego rodzaju, co kwartety, tria itd.

U nas z rozmaitych przyczyn nie rozbrzmiewa publicznie muzyka kwartetowa, a jeśli kiedy słyszymy ją przygodnie, to jest też ona zupełnie.. przygodną i dyletancką.

Niemałą też radością napełniła prawdziwie muzykalnych ludzi wieść, iż krakowskie Towarz. muzyczne przedstawi na jednym z swych koncertów słynny i obecnie najznakomitszy w Europie zespół, zwany kwartetem holenderskim.

Wyborny ten zespół powstał z słynnego „Tria holenderskiego“, które przed kilku laty zrobiło takie potężne wrażenie na najwybredniejszych znawcach Warszawy, Lwowa i Krakowa.

Obecnie tworzą kwartet ten panowie: Joseph M. van Veen pierwsze skrzypce, Willem Feltzer drugie skrzypce, Johan Ruinen altówka i Jaques van Lier wiolonczela.

Godziłoby się opowiedzieć bodaj potroszę o każdym z członków tego zespołu. Każdy z nich osobno jest znakomitym artystą, a nadto wybornym wirtuozem na swym instrumencie. W braku jednak miejsca ograniczyć się musimy do zanotowania i stwierdzenia faktu, iż zarówno krytyka fachowa jak i prasa codzienna, wyrażają się o produkcyach kwartetu z szczerem i rzetelnem uznaniem, notując z prawdziwą przyjemnością olbrzymie sukcesy i zdobywane laury u rozentuzyazmowanej publiczności całej Europy.

Dan'em nam sposobności usłyszenia znakomitego zespołu, zasłużyło sobie na prawdziwą wdzięczność ruchliwe Tow. muz., które nad podniesieniem muzycznego *niveau* Krakowa pracuje gorliwie i szczerze.

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

7 (Ciąg dalszy).

Tymczasem leśniczy wraz z żandarmami i Ścibora, wesoło zabawiali się w ekonomskim dworku, czekając na przybycie Pogórnego, a Giorczak w drugiej izbie przemyśliwał nad tem, czy dobrze zrobił, że w ten sposób wziął się do zgnębienia znienawidzonego parobczaka.

Po dłuższych namysłach Giorczak przyszedł do przekonania, że istotnie całkiem niepotrzebnie wzywał żandarmów.

— Ścibora, stary szczwany lis, miał racyę, kiedy mówił, że lepiej to wszystko puścić w niepamięć — mówił sobie w duchu Giorczak — to jak ten łotr mnie dusił widziała tylko Hania, a ona nie będzie świadczyć przeciw niemu. Ba! może jeszcze wygadać się nawet, że napadłem na nią, że chciałem zmusić ją do uległości i sąd gotów więcej zająć się moją osobą, jak tym podłym chłopem! A z tym rogaczem także mi pewnie lepiej nie pójdzie! Łotr skryje go gdzieś, a świadków nie ma, żeby mu można kłusownictwo udowodnić!... A zresztą, chociażby sąd uwierzył w jego winę, chociażby go i zamknięto na parę miesięcy, to co mi z tego?!... Czeka mnie potem tylko zemsta z jego strony i to zemsta straszna! Najlepiejby było, gdyby...

Oczy Giorczaka zapłonęły dziko, twarz przybrała zbójecki wyraz.

— Tak! — szepnął w końcu silnym, zdecydowanym głosem — tak! ja albo on!... Gdy już żandarmi dostaną go w ręce, nic nie będę mógł mu zrobić, trzeba się więc spieszyć i załatwić zaraz nasze rachunki!...

I w parę chwil potem drogą ponad Wisłą w stronę dębiny obrastającej nadbrzeżne urwiska rzeki szybkim krokiem skradającego się kota zdążała wysoka postać mężczyzny.

Był to Giorczak.

Szedł cicho, ostrożnie, kryjąc się wśród wysokich zbóż, w każdym krzaczku przydrożnym szukając zasłony. Czasami przystawał i nadsłuchiwał, czy nie usłyszy kroków jakiegoś chłopa, powracającego do domu, lub czy pasący nocą konie chłopacy nie znajdują się gdzieś w pobliżu.

Szedł tak ostrożnie, jak złodziej ścigany przez żandarmów, a niepewny, czy też lada chwila nie wpadnie w jakąś pułapkę.

Ale naokoło panowała cisza; księżyc skrył się za chmury i tylko szelest muskanych wiatrem traw i zbóż dawał jeden jedyny znak życia w naturze.

Dębina czerniła się już opodal, już dolatywał do uszu plenipotenta szum fal rzecznych. Serce zabiło mu mocniej w piersi.

Przystanął na chwilę. Widocznie wahał się, widocznie powstrzymał go głos sumienia, ale nie trwało to długo. Złe instynkty wzięły prędko górę nad chwilową uczciwością.

— Nie! po co te wahania! On, albo ja! Gdyby go zamknięto, wróci, a wtedy musiałbym się pożegnać z tym światem! Lepiej więc, stokroć lepiej jemu otworzyć wrota do raju, do błogiej, wiecznej szczęśliwości!..

I z dzikim śmiechem bandyty Giorczak zapuścił się w głąb cienistej dębiny, poczem oglądnąwszy się raz jeszcze, dobył z kieszeni rewolwer najnowszego systemu.

— Dyabeł nie śpi! — szepnął, przyglądając się połyskowi polerowanej stali — trzeba być ostrożnym, gdyż z takim łotrem walka może stać się ciężką, cięższą, niż ja się teraz sam spodziewam! Ale niech się dzieje, co chce! już ja mu za wszystko zapłacę, i za to wieczne szpiegowanie i za dzisiejszą porażkę!...

I pełnomocnik oglądnął się znów dokoła, znów przez chwilę nadsłuchiwał, poczem już bez wahania, szybkim i pewnym krokiem ruszył przez las. Niedługą jednak była ta droga, gdyż wnet dębina przerzedziła się i Giorczak stanął na skraju małej polanki jasno oświetlonej blaskiem księżyca.

Wśród tej polanki, tuż nad brzegiem Wisły szumiał ogromny rozłożysty dąb, ocieniając wąską ścieżkę, prowadzącą ponad stromem urwiskiem, które tworzyło bieg tej wspaniałej rzeki.

Giorczak rzucił się na ziemię i zaczął pełzać po polance w kierunku owego dębu. Jak robak wił się, jak kot tak się skradał wolno, ostrożnie. aż wreszcie skrył się pod cieniem zielonego olbrzyma.

Wówczas podniósł się dopiero, wyprostował, przeciągnął i spojrzał w przepaść, kędy szumiała rzeka.

— Ach! — zawołał w duchu — dobre miejsce! On tędy musi przechodzić, woda głęboka, fala rwąca poniesie go pewnie aż hen, hen do morza!...

I zbrodniarz przykucnął za dębem, oczekując cierpliwie na swoją ofiarę.

Upłynęło chwil kilka, które Giorczakowi wiekiem być się zdawały. Myślał, czy Pogórny poszedł już do miasteczka i czy aż do rana będzie musiał nań czekać, czy też siedzi jeszcze u Hani i dopiero w drogę wyruszy.

— Ach! gdyby on już poszedł, gdyby dopiero nad ranem powracał, wszystko stracone! Ludzie zaczną się spieszyć na targ do miasteczka i przeszkodzą mi w dokonaniu zemsty!...

Takie myśli plątały się po głowie zbrodniarza, gdy wtem od strony wioski na ścieżynie rozległ się szmer kroków. Księżyc schował się właśnie za chmury, jak gdyby zawarł jakiś tajemny sojusz z czyhającym na życie bliźniego łotrem.

Pełnomocnik podniósł się nieco i wlepił wzrok w dębinę.

Na ścieżce ukazała się smukła postać owinięta w białą chłopską sukmanę. Pewnym krokiem zdążała ona w stronę dębu, a z ruchów jej pośpiech był widoczny.

— To on! — szepnął w duchu Giorczak i dreszcz trwogi przeszedł jego ciało.

Tymczasem postać zbliżała się szybko. Jeszcze parę kroków i już stanęła pod samym dębem.

Giorczakowi pociemniało w oczach. Jak dziki zwierz rzucił się na przeciwnika i całą siłą pchnął go w przepaść...

Przeraźliwy straszny krzyk rozpaczy przedarł powietrze... Prawie równocześnie dał się słyszeć plusk ciała wpadającego do wody i znów w dębinie nastała cmentarna cisza...

. . . .

Nad krawędzią przepaści z osłupiałym wzrokiem wlepionym w huczące na dole fale klęczał Giorczak blady jak trup a drżący jak liść osiki.

Krew zastygła mu w żyłach, skamieniał cały z przerażenia, bo krzyk nieszczęsnej ofiary jego zbrodni nie był krzykiem mężczyzny, lecz — kobiety!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dlaczego pan Telesfor ma uprzedzenie do Warszawy?

(Humoreska).

2 (Ciąg dalszy).

—Dlaczego? – odparła dama z grymasem – dlatego, że jej nie cierpiałeś... Zawsze robiłeś mi wyrzuty, że ma pchły...

Telesforowi zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Już poprzednio przyszło mu do głowy, czy czasem jego nowa znajoma, która tak niespodzianie w ramiona mu wpadła, nie cierpi na jakieś małe obłąkanie?

Ponieważ jednak nic się nie odzywał, piękna towarzyszka jego mówiła dalej:

— Nie! doprawdy Alfredzie!... zmieniłeś się nie do poznania! Gdzie się podziała ta twoja dawna galanterya, twój humor i dowcip... Nie spodziewałam się takiej obojętności z twej strony i to po trzech długich miesiącach rozłąki! ...Dla ciebie tylko pozbyłam się tego milutkiego stworzonka...

— Jakiego? – zapytał wreszcie Telesfor nieśmiało.

— Jakiego? jakiego? – obruszyła się piękność – no! oczywiście Olzy.

— Ach tak! Olzy! – zawołał pewny już siebie „wieśniak" – bo też te jej pchły, sama przyznasz!...

— To jeszcze głupstwo! – zaszczebiotała wstydliwie dama – ale czy pamiętasz, jak ci raz rozdarła...

— Szelma – zawołał Telesfor oburzony i znowu dla kurażu całował drugą rączkę.

Dama obrzuciła go rozmarzonem spojrzeniem.

— Ach co za szczęście – szeptała – co za szczęście, żeś znowu powrócił!... zdaje mi się, że śnię, że marzę!.. Ach! jakżeż pięknym wydaje mi się świat, zupełnie jak wtedy po balu... pamiętasz?

— To dobre! jabym nie pamiętał – obruszył się Telesfor, a podejrzenia co do poczytalności zagadkowej damy znowu zaczęły go dręczyć.

Dama tonęła formalnie w zachwycie.

— Alfredzie! – szeptała pieszczotliwie – wtedy po tym balu pamiętasz, ach! nie byłeś taki chmurny i milczący... Owszem opowiadałeś mi wiele, wiele – ładnych rzeczy!

— O tak! ja bardzo lubię opowiadać! – oddał sobie pan Telesfor słuszność, a w duchu znowu rozmyślał:

— Boże! Boże! jak się to wszystko skończy?....

W tej chwili tajemnicza piękność, dała znak stangretowi, by zatrzymał konie.

— Muszę sobie wybrać coś na kostyum jesienny – objaśniła z czarownym uśmiechem, wysiadając pierwsza z powozu.

Pan Telesfor wyskoczył za nią i podążyli razem do pierwszorzędnego magazynu mód.

„Antoszeczka" była dzisiaj szczególniej wybredną. Przerzuciła cały sklep do góry nogami, zanim po długich i gorących namowach subjektów – zdecydowała się na jedną z najdroższych materyj.

Kazała ją następnie zawinąć i zanieść do powozu.

Pan Telesfor rachunek zapłacił, jakby to się samo przez się rozumiało, a piękna nieznajoma przyjęła tą drobną grzecznostkę, jako rzecz zwykłą i samo przez się zrozumiałą.

W dalszej podróży do „Stępka" przypomniała sobie, że ma jeszcze kilka sprawunków do załatwienia. W ten sposób przyszła kolej na szewca, przy której to sposobności mógł zakochany Alfred-Telesfor ujrzeć małą, zachwycających kształtów nóżkę w jedwabnej, ażurowej pończoszce, której nie ukrywała „Antoszeczka" przed swym przyjacielem. Urocza kobietka dawała mu łaskawie na każdym kroku dosyć sposobności do bliższego zapoznania się (czy przypomnienia) swych wdzięków.

U rękawicznika skonstatował tedy ziemianin niezwykle mały „numer" jej rączki, a u złotnika wykwintny gust swej bogdanki, gust, którego wyrazem były wspaniałe kolczyki, ozdobione wielkimi szmaragdami w otoczeniu drobnych brylancików.

— A jednak ten jakiś Alfred, musi być istotnie bogatym i hojnym facetem! – mówił sobie pan Telesfor w duchu, obliczając pobieżnie wydatki tej nadprogramowej znajomości.

Tymczasem „Antoszeczka" pokończyła wszystkie sprawunki, a wspaniałe koronki za 150 rubli wyczerpały jak na dzisiaj program wydatków.

Za kwadrans znajdowała się nasza para w eleganckim gabineciku pierwszorzędnej restauracyi.

— Patrz, Alfredzie! – zawołała piękna Antosia – wszak to te same ściany, co wówczas, pamiętasz? po balu?...

— Istotnie te same! te same! – bąkał rozglądając się po wypłowiałych i obcych mu zupełnie tapetach.

— A może – zdrajco – zapomniałeś już o tym balu i o tym gabinecie i o mnie nawet! mów! mów! – zawołała nagle, zaciskając perłowe ząbki i targając gwałtownie swego towarzysza za rękę.

— Ależ uspokój się! – mitygował ją zmieszany Telesfor – gdzieżbym mógł zapomnieć o tym balu, czy tam o tym gabinecie... Co za dziecińdzieństwo...

Zasiedli do stołu.

Nadobna kobieta wyszukiwała z „menu" najwymyślniejsze potrawy, uprzedziwszy go z góry, że dokładnie pamięta wszystkie jego upodobania i pasye gastronomiczne.

Po skończonej uczcie przyszła kolej na czarną kawę i likiery... C. d. n.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Ułożył W. K.

I.

Pierwsze i trzecie: Pewnie macie w domu,
Co żadnej krzywdy nie robi nikomu...
Drugie i pierwsze: żyją znowu w wodzie,
A podczas Wilii kąpały się w miodzie...
Co całość oznacza: panie i panowie,
W sekrecie wam powiem: ulicę we Lwowie.

II.

Wspak *pierwszy*: miły i przyjemny w lecie;
Lubią go młodzi jako też i starzy.
Drugą poszukajcie w polskim alfabecie.
A *trzecią* wspak: na swej własnej twarzy.
Wszystko: dostarcza nam pewne stworzenie,
Którego dla skromności tutaj nie wymienię...

Logogryf

Z sylab: a, ro, sa, gyp, li, bau, żen, a, że, dy, o, kles, dya, ni, fro, so, ta, wi, fo, dy, spis, an, usz, ty, och, ki — ułożyć 9 wyrazów, których litery końcowe, czytane z dołu do góry, utworzyłyby nazwę kraju w Europie, a litery początkowe, czytane w przeciwnym kierunku – nazwę miasta w tymże kraju, pamiętnego z wojen Napoleońskich.

Znaczenie wyrazów:

1. Prowincya Francyi.
2. Spójnik.
3. Sprzęt kuchenny.
4. Bogini grecka.
5. Pseudonim znanej powieściopisarki francuskiej.
6. Poeta rzymski za czasów Augusta.
7. Mędrzec i poeta dramatyczny grecki.
8. Przymiotnik.
9. Król Azyi Mniejszej.

Arytmogryf.

6
8 **16** 4
6 16 **20** 5 22
5 18 16 **22** 7 10 8
23 19 4 6 **5** 20 1 10 8
6 5 4 21 9 **14** 16 15 6 16 11
6 5 15 11 22 16 **23** 1 2 10 9 5 20
6 16 20 22 5 14 23 5 4 4 21 20 22 16 14
9 5 24 1 21 4 **4** 16 20 16 23 1 21
12 21 8 16 24 **4** 16 3 1 20 5
14 21 3 22 **21** 2 10 7 20
6 16 22 **20** 21 4 5
3 5 **22** 5 20
3 **16** 22
14

Gdy w umieszczonych kombinacyach, zmieni się liczby na litery, utworzą one 15 wyrazów, z których środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzą tytuł utworu Adama Mickiewicza.

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Znak muzyczny.
3. Składowa część drzewa.
4. Nazwa krótkiego zdania.
5. Zjawisko w przyrodzie.
6. Przyrząd optyczny w kształcie rury, albo tytuł jednej z powieści Józefa Rogosza.
7. Nazwisko i imię współczesnego liryka polskiego.
8. Tytuł utworu Mickiewicza.
9. Dynastya panująca z Polsce.
10. Substancya podobna do białka.
11. Miasto węgierskie.
12. Imię żeńskie.
13. Zwierzę domowe.
14. Pierwiastek chemiczny.
15. Spółgłoska.

Zadanie konikowe.

nie	ży	w stra	bę	dem	więc	ku	koj
pie	kie	sze	cie	jak	nie	u	nie
cie	czy	dzie	o	jak	w mło	spo	w sto
lek	nie	w u	lot	mo	ży	cze	śmiech
ci	dzić	ku	nad	ży	pta	ca	śpij
jak	ci	niech	je	bę	cie	cze	ka
cie	lek	cię	ga	błę	to	dzie	słoń
niech	mi	ki	kie	ży	nie	po	nia

Jako nagrodę za dobre rozwiązania wszystkich powyższych, przeznaczy:

„Patacake Wielki Król".

satyra na jednego z panujących.

Ktoby z P. T. Abonentów jeszcze nagrody nie otrzymał, a była mu przyznaną – zechce nas zaraz o tem zawiadomić!

Rozwiązania z Nru 6.

Rebus: Przez usta dziecinne anioł niekiedy przemawia.
Szarady: Karnety – Worochta.
Arytmogryf: Kornel Ujejski
Zdanie: Włodzimierz Zagórski.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Josefert, Śliwa, Gawliccy, Badura, Ks. Halkiewicz, Ulrich, Grabowski, Borzęcki, Fuchs, Szwajlik, Śnieżkowa, Krzyżanowski, Winiarska, Chłopicka, Arbesbauer, Łaszkiewicz, Dembiński, Walter, Bassara, Machalica, Zielińska, Barański, Medyński, Kossowski, Habermann, Leitner, Mika, Stadnik, Remiszewski, Medweczky, Plamitzer, Czerkawski, Hałdziński, Mokrzycka, Starowieyski, Wolańska, Ramułtowa.

Nagrodę przez losowanie otrzymała pani M. Wolańska w Krakowie. Prosimy o nadesłanie 50 h. na koszta przesyłki.

Zwracamy uwagę P. T. naszych Czytelników, iż zamieszczamy nazwiska tylko tych, którzy nadesłali dobre rozwiązania i wszystkie rozwiązali. Ci też tylko biorą udział w losowaniu o nagrodę.

Zarazem nadmieniamy jeszcze raz, iż w losowaniu biorą udział tylko te rozwiązania, które nadeszły do Redakcyi najpóźniej w niedzielę t. j. w dziewięć dni po wyjściu numeru. Później nadesłanych rozwiązań nie możemy uwzględniać – albowiem z powodów technicznych dział zagadkowy musimy już w poniedziałek zamykać.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.